W numerze: „Fryderyk Chopin" wychodzi w morze ● Wietnamscy partyzanci ● „Wzgórza bezimienne" ● Max Frisch o Polsce ● Jeszcze piękniejsza Helena... ● Ludzie znad rzeki ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

odgłosy

Nr 35 (351)
5. IX 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

W NOWYM ROKU SZKOLNYM

Początek roku szkolnego to okazja, z racji której wiele mówi się i pisze na temat wychowania, szkoły, programów, podręczników itp. Porusza się sprawy błahe i poważne, dokuczliwe i radosne.

Szczególnie dużo uwagi poświęca się realizowanej obecnie reformie szkolnictwa.

I chyba słusznie. Bowiem pomimo wzrastającej roli wszelkich instytucji masowego przekazu informacji jak radio, prasa, film i nade wszystko — telewizja, to jednak tylko szkoła przekazuje młodemu człowiekowi wiedzę o świecie w sposób systematyczny, pełny i uporządkowany. I pomimo ogromnej roli grup społecznych: rodziny, najbliższego środowiska i tradycji na kształtowanie się światopoglądu — i w tej dziedzinie wpływ szkoły może, a przynajmniej powinien być duży.

Ale nie chcę w tej chwili uzasadniać swojego optymistycznego poglądu na rolę szkoły w kształtowaniu psychicznego profilu człowieka współczesnego.

Ten, kto miał to szczęście, że w szkole pozostawał pod wpływem nauczyciela, który był człowiekiem mądrym, inteligentnym i szlachetnym, a tym bardziej ten, kto był uczniem szkoły, gdzie takich nauczycieli było więcej — ten wie, jak silny, jak długotrwały jest wpływ takiej szkoły na kształtowanie się postaw moralno-społecznych i światopoglądowych.

Nie chcę jednak roztrząsać sprawy funkcji szkoły w świecie współczesnym, a przejdę do wypowiedzenia pewnych uwag i myśli w związku z realizowaną reformą szkolną.

Sprawę rewizji systemu szkolnego, dostosowanie go do wciąż rosnącego tempa przemian w świecie współczesnym dyskutuje się w całym chyba cywilizowanym świecie.

W związku z niezwykle bujnym rozwojem nauki i techniki odczuwa się potrzebę znacznego przedłużenia wykształcenia podstawowego. Jest ono bowiem konieczne zarówno robotnikowi obsługującemu precyzyjne i b. drogie maszyny, jest ono konieczne dla podjęcia dalszej, specjalistycznej nauki, bez niego zresztą, obywatel nie jest w stanie zrozumieć, o czym pisze prasa codzienna lub tego, co się

Dalszy ciąg na str. 3

WACŁAW BILIŃSKI

ŚMIERĆ KANONIKA

Działoszyniakom, którzy wspominają rok 1939, wydaje się dziś, że wojna skradała się pod ich próg na długo przedtem nim padły pierwsze strzały. Że przed wojną, niby podmuch wichury przed burzą, spadły na miasteczko klęski, nieszczęścia i znaki, po których znać było, iż zbliżają się czterej jeźdźcy Apokalipsy.

Najpierw poszły z dymem stodoły, ale Działoszyn nawykł do takich pożarów, zazwyczaj ludzie winili za nie handlarzy zbożem: stodoły działoszyńskie ciasno stłoczone za miasteczkiem szły od jednej iskry z dymem i przynosiło to zysk tylko handlarzom. Tym razem przebąkiwano jednak że to Niemiec podpalił i że to znak, iż zbliża się wojna.

Potem nastała powódź. Warta zalała łąki i płynęła tuż pod szkołą. I grad wielkości orzecha włoskiego wytłukł zboża, aż uliczki miasteczka pokryło zgrzytające pod nogami szklane usypisko. Teraz niemal każdy dzień przynosił jakieś nieszczęście. Na oczach ludzi utopił się pod mostem młody żołnierz. W żydowskim zaułku powiesił się śmiertelnie przerażony tym co nadciąga stary pejsaty krawiec. Nad Działoszynem wiało grozą.

Ale młodzi — a oni zawsze nadają ton

Dalszy ciąg na str. 4

ŻE ŚWIATA

W czasie jednej z pierwszych wersji frankfurckiego procesu oprawców Obozu Oświęcimskiego zdarzył się wieloznaczący epizod. Oto jeden z głównych oskarżonych, osławiony kat więźniów, esesowiec Boger, bez osłonek oświadczył, iż na parę dni przed aresztowaniem został wezwany do telefonu i wtedy jakiś nieznany rozmówca, podając się za funkcjonariusza policji, spytał go czy pracował w tzw. Wydziale Politycznym Obozu w Oświęcimiu. „Po takim ostrzeżeniu łatwo mogłem uciec..." — dodał cynicznie Boger.

Przyznajmy mu rację — było to ostrzeżenie i chodziło zapewne o sprowokowanie ucieczki pierwszego i bodajże najbardziej skompromitowanego z oskarżonych w gigantycznym procesie. Była to — jak nam się dziś wydaje — zarazem i jedna z ostatnich, rozpaczliwych prób niedopuszczenia do procesu. Psychologiczny chwyt zawiódł jednak — może i dlatego, że jak wyszperali dziennikarze, Boger był akurat w kłopotach finansowych. A może po prostu — wobec bliskiego już wówczas terminu przedawnienia — zlekceważył on całą sprawę?

Tak więc Boger znalazł się w więzieniu śledczym, pierwszy kamień został poruszony z bezruchu — i mógł teraz porwać całą lawinę: proces frankfurcki mógł stać się taką lawiną, mógł zmienić oblicze wymiaru sprawiedliwości w NRF, mógł bońską Temidę zrehabilitować. Stało się jednak inaczej. Temida — symbol sprawiedliwości — w bońskiej republice nie musi już wg opinii światowej nosić przepaski na oczach. Proces frankfurcki zakończył się wyrokami, które dowodzą, iż zachodnioniemiecka sprawiedliwość jest zupełnie ślepa. A raczej — że znów została okrutnie oślepiona. Monstrualny proces-gigant, największy proces jaki kiedykolwiek toczył się przed niemieckim sądem został zorganizowany z niemiecką pedanterią. Miała ona tym razem jednak szczególne zadania: rzeczowość, dociekliwość i bezstronność — te cnoty każdego zespołu sędziowskiego — tym razem posłużyć miały właśnie oślepieniu sprawiedliwości. Podejrzewaliśmy to od początku procesu. Po wyrokach stało się to dla nas oczywiste.

■ *Reżyseria procesu na przeszło rok trwające widowisko — pod pozorami wnikliwości — posłużyła perfidnemu celowi: zachodnioniemiecka opinia publiczna, początkowo żywo interesująca się procesem, uległa łatwemu do przewidzenia znużeniu. Pod koniec procesu, w czasie którejś tam setnej sesji — opinia publiczna była już zupełnie znieczulona i zobojętniała na relacje — zresztą również coraz skąpsze — prasy. Cel psychologiczny został więc osiągnięty, proces znalazł się na dalekim planie aktualnych, politycznych zdarzeń, jakimi żyje zachodnioniemieckie społeczeństwo.*

■ *Przebieg procesu, mimo nieustannych sprzeciwów energicznego oskarżenia, zainscenizowany został w ten sposób, by raz jeszcze podjąć obronę od dawna w bońskiej republice lansowanej tezy, iż podobnie jak cały aparat hitlerowskiej zbrodni, tak nawet i funkcjonariusze obozów koncentracyjnych byli tylko wykonawcami abstrakcyjnych, jeśli chodzi o źródło, a ogólnopaństwowo obowiązujących rozkazów.*

■ *Jeśli jednak wyjątkowe bestialstwo poszczególnych oskarżonych wykraczało zbyt daleko poza schemat tych „morderczych lecz obowiązujących rozkazów" — jak w wypadku oskarżonych Bogera i Kaduka — przewód prowadzono tak, by zbrodnie te uznane zostały za przestępstwa pospolite, kryminalne — a nie za zbrodnie polityczne. W ten sposób z ludobójców uczyniono pospolitych morderców. A morderców znaleźć można w każdym społeczeństwie.*

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te założenia inscenizacyjne procesu frankfurckiego były głęboko przemyślane i świadomie realizowane: służyły one politycznej rzeczywistości republiki bońskiej, służyły duchowi odwetu i sprawie rehabilitacji hitleryzmu — oczywiście przy akompaniamencie oficjalnych zapewnień o czymś wręcz przeciwstawnym.

Tak więc właściwy cel procesu został — w rozumieniu pewnych kół zachodnioniemieckich — w pełni osiągnięty. Proces odbył się, i zachodnioniemiecki wydział sprawiedliwości uwolnił się od zarzutu stronniczej ślepoty i pobłażliwości wobec zbrodniarzy hitlerowskich. Stał się on w zrozumieniu Bonn zarazem i repliką na jerozolimski proces Eichmanna: sędziowie we Frankfurcie — w swym i swych mocodawców imieniu — ukazali światu jak wygląda niemiecki przewód sądowy praworządny i bezstronny, a więc maksymalnie humanitarny; i funkcjonujący zgodnie z zasadą iż sąd nie jest miejscem zemsty lecz świątynią sprawiedliwości. Wreszcie proces wykazał jakoby, iż zbrodnie hitleryzmu, wynikłe z rozkazów ludobójczej grupy rządzącej, osądzonej już przecież przed 20 laty w Norymberdze, były w istocie dziełem nieodpowiedzialnych wykonawców — pospolitych przestępców, jakich — i ta teza zabrzmiała w podtekstach wyroku — nie brak nigdzie na świecie.

Tak oto dokonała się próba pośredniej i perfidnej rehabilitacji zbrodni. Czy próba ta w istocie się powiodła? Groteskowo łagodne wyroki na oprawców obciążonych śmiercią milionów, bezkarny tupet obrońców, którzy nie jeden raz na sali frankfurckiego sądu zapominali, że śledzi ich z uwagą opinia światowa, wciąż uczulona na wszelkie przejawy neohitleryzmu, wreszcie dziesiątki i setki kompromitujących zachodnioniemiecki wymiar sprawiedliwości epizodów — wszystko to potwierdziło obawy, iż w NRF zbrodnicza hitlerowska przeszłość, niewykarczowana w minionym dwudziestoleciu, znów głęboko zapuściła korzenie. I taki jest istotny sens wyroków w tym procesie, tak boleśnie obrażających ogólnoludzkie poczucie sprawiedliwości. ■

Kronika tygodnia

NIEDZIELA
22 sierpnia

■ Trzeci samolot amerykański strącony został w odległości około 130 kilometrów od Hanoi przez pocisk „ziemia—powietrze", przypuszczalnie wystrzelony z ruchomej wyrzutni. Fakt ten — pisze AFP wywołał w Sajgonie zdziwienie, wskazuje bowiem, iż system obrony, oparty na wyrzutniach rakietowych rozciąga się także na inne regiony Wietnamu Północnego poza deltę Rzeki Czerwonej.

■ 61 proc. osób zapytanych, w ramach ankiety francuskiego Instytutu Badania Opinii Publicznej, o zdanie, wyraziło zadowolenie z działalności de Gaulle'a jako prezydenta. Niezadowolonych . było 26 proc., raczej niezadowolonych — 8 proc.

■ W wyniku obniżenia podatku obrotowego od szeregu usług, towarów spożywczych i innych artykułów przemysłu terenowego w Bułgarii, nastąpi obniżenie cen tych usług i artykułów o sumę zniżonego podatku.

PONIEDZIAŁEK
23 sierpnia

■ Jeden z francuskich generałów w stanie spoczynku, Beaufre, dokonał porównania między wojną indochińską w latach 1947—50, a obecną fazą działań wojennych w Wietnamie Południowym. „Konflikt — pisze generał — tak samo się rozwija. Uderzające jest, że następuje to w takich samych okresach czasu. Amerykańska interwencja w ostatnim okresie odpowiada dokładnie wysłaniu generała de Lattre z posiłkami pod koniec roku 1950. Vietminh potrzebował czterech lat, od roku 1947 do 1950, aby stworzyć swą potęgę wojskową. Vietcongowi zabrało to również cztery lata od roku 1960 do 1965. Można przez analogię sądzić, że wchodzimy w okres próby sił, podobny do tego, który miał miejsce w latach 1951—54".

WTOREK
24 sierpnia

■ Państwa Ameryki Łacińskiej z rosnącym niepokojem obserwują nasilanie się ambicji militarnych Brazylii, które zmierzają do uzyskania przez ten kraj hegemonii w Ameryce Południowej w ramach hegemonii USA na całej półkuli.

■ Przewodniczący KP Indonezji, D. Aidid oświadczył, że 500 tysięcy spośród trzech milionów członków Ludowego Związku Młodzieży Indonezyjskiej zgłosiło gotowość wyjazdu do Wietnamu Południowego, aby walczyć z agresją amerykańską.

■ Prezydent Johnson podpisał ustawę przewidującą wydatkowanie dodatkowo 3,3 miliarda dolarów na roboty publiczne w całym kraju, w ramach tzw. „walki z ubóstwem".

> *Najniebezpieczniejszym rodzajem ucieczki jest ucieczka do przodu.*
>
> *WAYNE MORSE — amerykański senator*

ŚRODA
25 sierpnia

■ Według opinii wicekanclerza Ericha Mende, udział NRF w międzynarodowej wystawie chemicznej organizowanej we wrześniu w Moskwie oraz wyjazd do Moskwy delegacji zachodnioniemieckiej pod kierownictwem sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Carstensa, „rozpocznie nowy rozdział rozmów między Związkiem Radzieckim a Republiką Federalną".

■ Przedmiotem licznych komentarzy prasy i agencji zachodnich jest zapowiedź zawarta w ostatniej konferencji prasowej Johnsona umieszczenia na orbicie ziemskiej „laboratorium" z obsługą ludzką o przeznaczeniu wojskowym. „Po oddaniu do użytku pierwszego satelity wojskowego z załogą ludzką — pisze „Stuttgarter Zeitung" — wytworzy się natychmiast dążenie do posiadania w przestrzeni kosmicznej całej armady satelitów z żołnierzami na pokładzie... Dlatego też wojskowy program kosmiczny będzie wymagał inwestowania nowych, olbrzymich kwot, które zdobyć mogą tylko Ameryka i Związek Radziecki".

CZWARTEK
26 sierpnia

■ Związek Radziecki udzielił Iranowi pożyczki w wysokości 35 milionów rubli na budowę zapory wodnej na rzece Aras. Pożyczka będzie miała formę dostaw potrzebnego wyposażenia technicznego, a spłacona zostanie w surowcach.

■ Minister spraw zagranicznych Indonezji, dr Subandrio — oświadczył po spotkaniu ze swym chińskim kolegą, że ChRL i Indonezja nie uznają Singapuru w najbliższej przyszłości, oraz że polityka „konfrontacji" prowadzona przez Indonezję w stosunku do Malajzii i Singapuru będzie kontynuowana.

■ W ramach umowy o współpracy gospodarczej podpisanej między Bułgarią a Związkiem Radzieckim na lata 1966—70 przewiduje się zbudowanie w Bułgarii dwóch wielkich fabryk samochodów.

Jedna z nich produkować będzie samochody ciężarowe. Przewidziana wydajność fabryki — 30 tysięcy sztuk rocznie. Drugi zakład produkcyjny wytwarzał będzie samochody osobowe „Moskwicz-408". Po zakończeniu pierwszego etapu budowy w 1968 roku zdolność produkcyjna fabryki wyniesie 15 tysięcy sztuk. Po dalszej rozbudowie zakładu produkcja samochodów osobowych wzrośnie kilkakrotnie.

■ Agencje zachodnie informują o narastaniu nowego politycznego kryzysu w Malajzji. Po wystąpieniu z Federacji Singapuru podobne tendencje zdradzają inne terytoria. Premier Federacji Rahman zmuszony został do wysunięcia ostrzeżenia, że nie zezwoli na secesję z Federacji żadnego dalszego terytorium.

PIĄTEK
27 sierpnia

■ Radziecki tygodnik „Ogoniok" pisze, iż wywiad radziecki udaremnił spisek wywiadu niemieckiego, który miał na celu zamordowanie Churchilla i Stalina oraz porwanie Roosevelta podczas konferencji w Teheranie w 1943 roku. Wykonawcą tego miał być as wywiadu niemieckiego O. Skorzeny, który przygotowywał się w specjalnym ośrodku szkoleniowym w Kopenhadze. O planie tym dowiedział się agent radzieckiego wywiadu, N. Kuźniecow. Umożliwiło to przybycie na czas do Teheranu pracowników radzieckiego wywiadu i unieszkodliwienie niedoszłych zamachowców.

— Halo, Wilson, czy znów coś złego się wydarzyło?
(The Observer)

■ Wysokie ceny pobierane przez zakłady gastronomiczne Chorwacji spowodowały spadek spożycia piwa o 70 proc. a obrotów browarów o 40 proc. Browary zapowiedziały w związku z tym, że jeśli restauracje nie obniżą odpowiednio cen, wówczas otworzą one swoje własne wyszynki piwa po cenach znacznie niższych niż obowiązujące w gastronomii.

> *W polityce światowej niejeden podający się za strażaka trudni się dolewaniem oliwy do ognia.*
>
> *BERTRAND RUSSELL*

SOBOTA
28 sierpnia

■ Sekretarz generalny KC RPK, N. Ceausescu, udzielił dziennikowi „Unita" wywiadu z okazji rocznicy śmierci P. Togliattiego. „W działalności swej — powiedział sekretarz Rumuńskiej Partii Komunistycznej — P. Togliatti poświęcił wiele uwagi sprawie jedności międzynarodowego ruchu komunistycznego, pogłębienia stosunków opartych na normach marksizmu-leninizmu i wzajemnym szacunku między bratnimi partiami i ich przywódcami. Ścisłe przestrzeganie zasad niezależności, równości i nieingerencji w sprawy wewnętrzne innych partii jest podstawowym warunkiem zapewnienia zwartości partii komunistycznych i robotniczych pod sztandarem marksizmu - leninizmu, jest warunkiem wzrostu socjalizmu w świecie".

POLONICA

POLSKIE FILMY NA LITWIE

„Czerwony Sztandar" wychodzący w Wilnie w numerze z dnia 8 sierpnia br. zamieścił notatkę informującą o wejściu na ekrany kin litewskich polskiego filmu „Giuseppe w Warszawie". Ocena filmów polskich przez krytyka litewskiego jest b. wysoka. Oto wyjątek z recenzji:

„Szczególnie wiele filmów w ciągu ostatnich lat traktujących o wydarzeniach drugiej wojny światowej, zrealizowali kinematografiści Polski Ludowej. Takie filmy jak „Pasażerka", „Ostatni etap", „O tym nie można zapomnieć" oraz cały szereg innych zdobyły wysokie uznanie na ekranie światowym. Głęcnie widzowie będą mieli okazję zapoznać się z nowym dziełem polskiej sztuki filmowej „Giuseppe w Warszawie". Jest to jeden z udanych gatunków — komedia wojenna".

(el)

ERYK LIPIŃSKI — GOŚCIEM „KROKODILA"

Tygodnik satyryczny „Krokodil" w numerze z 10 lipca br. zamieścił kilka rysunków Eryka Lipińskiego oraz obszerną notatkę o pracy naszego popularnego rysownika, który gościł niedawno w ZSRR. Oczywiście, odbyło się spotkanie z pracownikami „Krokodila".

A oto co o Lipińskim piszą dziennikarze radzieccy: „Eryk Lipiński pojechał do Austrii i otrzymał na Międzynarodowej Wystawie Plakatu w Wiedniu 7 nagród. Chcąc odpocząć po podróży, Eryk wziął do ręki małe kartki papieru i zajął się karykaturą. I tak się zapracował, że oderwać go mogło jedynie zaproszenie odwiedzenia Wystawy Polskiej Karykatury, gdzie otrzymał pierwszą nagrodę za swoje prace. I tak przez całe życie. Praca Eryka Lipińskiego, jako karykaturzysty, plakacisty i ilustratora, została nagrodzona przez rząd Polski Ludowej „Złotym Krzyżem Zasługi".

JESZCZE O POLAKACH W ZSRR

Tygodnik „Ogoniok" w nr 31 przynosi bardzo obszerną relację znanego publicysty i podróżnika Luciana Wołanowskiego z jego wyprawy na wyspy Oceanii pt. „Makatea — wyspa trzech aut".

Artykuł Wołanowskiego ukazał się w rubryce „Wyprawy dookoła świata" i został zilustrowany egzotycznymi zdjęciami wykonanymi przez autora.

Inny miesięcznik, „Iskusstwo i Kino" w swoim lipcowym numerze poświęconym IV Moskiewskiemu Międzynarodowemu Festiwalowi Filmowemu, zamieścił portrety naszych czołowych gwiazd: Elżbiety Czyżewskiej, Ewy Wiśniewskiej, Zofii Kucówny i Wiesława Gołasa, oraz duży artykuł Jerzego Redlicha, oceniający radziecki film wyświetlony w ramach festiwalu pt. „Magistral".

S. J. LEC NA ŁAMACH „JUNOSTI"

Coraz częściej na łamach prasy radzieckiej pojawiają się utwory polskich autorów współczesnych. Jest to niewątpliwym dowodem popularności naszej powojennej literatury w ZSRR. Szczególnym uznaniem cieszą się krótkie utwory, aforyzmy i powiedzonka, określane przez Rosjan jako „szutoczki s pierczikom".

Ostatnio miesięcznik „Junost" wydawany przez organ Zw. Pisarzy ZSRR w swoim sierpniowym numerze przynosi w rubryce „Odkurzacz" — 22 króciutkie „myśli nieuczesane" St. J. Leca. Przekładu dokonali W. Buricz i M. Pawłowa, a pomysłowy rysunek wykonał I. Offengenden.

(el)

W NOWYM ROKU SZKOLNYM

Dalszy ciąg ze str. 1

dzieje na ekranie telewizyjnym. Sęk jednak w tym, do ilu lat „wydłużać" to podstawowe wykształcenie. U nas „wydłużamy" je do lat ośmiu. U naszych sąsiadów już do 9, a nawet 10 (NRD, Czechosłowacja). Wkrótce i tego będzie za mało. Ale na tej drodze czeka nas chyba jakiś absurd. Już dziś u nas w dziedzinie niektórych dyscyplin okres obowiązkowej nauki wydłuża się niemal do lat 30. Nie możemy chyba tylko w ten sposób reagować na rozwój nauki i techniki. Idąc bowiem po tej drodze doszlibyśmy do tego, że dyplom ukończenia wyższej uczelni otrzymywać się będzie w wieku emerytalnym.

To jedna sprawa. A druga ściśle zresztą z tą związana: w jakim właściwie wieku młody człowiek może podjąć decyzję na temat kierunku dalszej nauki (w szkole średniej)? 14 lat?, 15? Czy później? I wreszcie: charakter szkoły zawodowej: wąskospecjalistyczna czy raczej ogólna, branżowa? A szkoła średnia ogólnokształcąca — zróżnicowana (wg typów) czy nie? (A jeżeli tak, to jakie typy?). U nas prof. Suchodolski wysuwa, jak wiadomo, koncepcję jednolitej szkoły średniej — zawodowej, zróżnicowanej dla potrzeb różnych dziedzin gospodarki narodowej, ale również silnie zhumanizowanej.

Jakie rozwiązanie proponuje nasza reforma szkolna?

Po pierwsze: zdajemy sobie sprawę, że absolutnie nie jest ona wyrazem jakichś ostatecznych rozwiązań (takich „ostatecznych" rozwiązań nie ma w ogóle. Zawsze szkoła w swojej strukturze organizacyjnej i treściach dydaktyczno-wychowawczych, jakie aplikuje wychowankowi, zależeć musi od zmieniającego się ciągle: społeczno-politycznego kształtu państwa, któremu służy i kierunków rozwoju nauki, techniki, sztuki...), zgodnie z zasadniczym poglądem na funkcję szkoły w państwie socjalistycznym idziemy na przedłużenie obowiązkowego, podstawowego wykształcenia wszystkich obywateli, w odniesieniu do szkoły średniej — zachowując tradycyjny podział na szkoły zawodowe i ogólnokształcące, idziemy na wzrost procentowy szkół zawodowych w stosunku do ogólnokształcących. (Dla Łodzi ten stosunek liczby uczniów w liceach ogólnokształcących i w szkołach zawodowych kształtuje się jak 1:2,5). Programy szkół średnich zreformowanych dotąd się nie ukazały, ale wiemy już, że nie pójdziemy na kształcenie w zakresie wąskich specjalności, ale raczej ogólnych, kierunkowych (mechanika, energetyka, łączność, chemia itd.), kładąc nacisk na większe zhumanizowanie programów. Sądzimy bowiem, że zadaniem szkoły jest dać młodemu technikowi czy robotnikowi kwalifikowanemu pewną wiedzę zawodową i wykształcić w nim pewne umiejętności. Natomiast specem w zakresie jakiejś wąskiej specjalności stać się on może dopiero w zakładzie pracy pod warunkiem, że wyniesie on ze szkoły pewną wiedzę ogólną i chęć dalszego rozwijania swoich kwalifikacji. Dochodzimy tu do nowej funkcji szkoły, ale do tego zagadnienia jeszcze powrócę.

Liceum ogólnokształcące ma być za to bardziej spolitechnizowane, żeby jego wychowanek posiadał pewne dyspozycje do podjęcia pracy zawodowej, nie będzie podziału wg typów, natomiast w ostatniej, maturalnej klasie uczeń będzie mógł wybierać przedmioty zależnie od tego, na jaką wyższą uczelnię się wybierze.

Przedłużenie nauczania podstawowego do lat ośmiu spowoduje tym samym przedłużenie obowiązku szkolnego do lat 17 (a więc młody człowiek nie będzie mógł opuścić szkoły podstawowej przed 17 rokiem życia, o ile jej do tej pory nie ukończył) i, zasadniczo, skrócenie nauki w szkole zawodowej o 1 rok.

Tyle — zmian organizacyjnych. Daleko jednak poważniejsze zmiany przynosi reforma szkolna w treściach nauczania. Obok zupełnie nowego przedmiotu „wychowanie obywatelskie" i odmiennych od tradycyjnego ujęcia „wychowania muzycznego, plastycznego, fizycznego czy zajęć praktyczno-technicznych", określonych w treści i zakresie tzw. „zajęć nadobowiązkowych" (chór, zespoły muzyczne, przysposobienie sportowe, drugi język obcy) — w każdym przedmiocie program przewiduje wiele nowych zagadnień. Niewątpliwie wielość tych nowych treści stawia przed uczniami, jak i przed nauczycielami poważne zadania. Czy nie zbyt poważne? — Życie pokaże. W kilkudziesięciu szkołach na zlecenie Ministerstwa Oświaty nauczyciele realizujący te programy prowadzą b. dokładne notatki z każdej lekcji, zwracając szczególną uwagę na trudności, jakie napotkali. Zresztą wyraz, „tymczasowy" w podtytule wprowadzonych w 1963 roku programów nauczania sugeruje, że ich kształt ostateczny zredaguje życie.

Te nowe treści to np. w odniesieniu do języka polskiego nie tylko nowe pozycje z literatury najnowszej (np. w kl. VIII m. in. Putramenta „Wrzesień", „Pokolenie" Czeszki, opowiadania Iwaszkiewicza, Hemingway'a, „Barwy walki" Moczara) nie tylko omawianie przedstawień teatralnych, filmów, audycji radiowych, programów telewizyjnych, ale również nowy dział „czytelnictwo i podstawy samokształcenia' zawierający oprócz elementów wiedzy o książce materiał dotyczący techniki pracy umysłowej.

I tak można by wskazywać w każdym przedmiocie nowe treści, zupełnie nowe zagadnienia lub też zupełnie inne potraktowanie zagadnień już znanych. Nakłada to na nauczyciela b. duże obowiązki solidnego, rzeczowego przygotowania się do lekcji. Będzie musiał bowiem uczyć dzieci tego, czego się sam nigdy nie uczył ani w szkole średniej, ani w Studium Nauczycielskim, ani nawet w uczelni wyższej. Dotyczy to nie tylko nauczycieli starszych, którzy studia kończyli ileś tam lat temu, ale — również zupełnie młodych.

Żeby nie być gołosłownym, kilka przykładów:

Język polski (kl. VII) „Zasady racjonalnego korzystania z audiowizualnych środków upowszechnienia kultury, radia, telewizji, filmu;

Biologia (kl. VII) „Rybołówstwo w Polsce Ludowej" lub (kl. VIII) „BHP w zakładach pracy".

Fizyka (kl. VII) „Loty rakiet kosmicznych, sztuczne satelity Ziemi", albo „Silniki odrzutowe i ich zastosowanie w lotnictwie i do napędu rakiet kosmicznych".

Rzecz oczywista, że konieczność stałego uzupełniania przez nauczyciela własnej wiedzy, dotyczy pozatem tzw. „trzymania ręki na pulsie" najnowszych osiągnięć w dziedzinie nauki, techniki, sztuki, tudzież znajomości aktualnej lektury zarówno w odniesieniu do literatury pięknej, jak również — technicznej czy popularno-naukowej zależnie od przedmiotu nauczania. Ale strona rzeczowa nowych „Programów" nie wyczerpuje jeszcze wszystkich aspektów reformy. Pozostaje sprawa kapitalnego znaczenia — zmiany metod nauczania.

Nie wdając się w długie dysertacje, chodzi o to, że przed szkołą współczesną właś nie ze względu na ów szybki rozwój wszystkich dziedzin myśli staje obok tradycyjnego zadania przekazywania młodemu pokoleniu wiadomości i wykształcenia pewnych umiejętności — zadanie wyrobienia w nim przeświadczenia o konieczności ciągłej pracy nad sobą i wychowywania go w atmosferze i — warunkach ciągłej, samodzielnej pracy. A więc, jak to ktoś lapidarnie sformułował, szkoła nowoczesna, to taka szkoła, która nie tylko uczy, ale również uczy, jak się uczyć. Żeby to zadanie zrealizować, szkoła nie tylko musi zmienić swoje zewnętrzne oblicze, ale — nauczyciel musi poddać gruntownej rewizji stosowane dotąd metody nauczania, zmienić do gruntu tok każdej lekcji.

W nowoczesnej szkole bowiem nie tylko znika tradycyjna „klasa" — izba z nieśmiertelnymi planszami, portretami, tablicami ortograficznymi czy „pocztem królów", z wyniesioną „katedrą", na którą wstępował On — „Przekaziciel Wiedzy" gromadzie mniej lub więcej obojętnych odbiorców, a na jej miejsce pojawia się pracownia ze zgromadzonymi dla danej dyscypliny wiedzy pomocami naukowymi, okazami, słownikami, literaturą popularno-naukową, mapami, zdjęciami, filmami, płytoteką itd., itd., i w tej pracowni uczniowie rozwiązują kolejno problemy, postawione przed nimi przez program nauczania.

Uczniowie, wiedzą, jakie zagadnienia mają rozwiązać, jakie wiadomości sobie przyswoić. Jak to zrobić, poradzi im — nauczyciel, pod którego kierownictwem również dokonują kontroli, sprawdzenia, czy istotnie materiał został przez nich opanowany.

Tak w wielkim skrócie przedstawia się kierunek, sens rewolucji (tak chyba bez przesady można powiedzieć) w dziedzinie metod nauczania, jaka się obecnie dokonywa. Rzecz jasna, nie można zmienić z wtorku na środę metod nauczania uświęconych tradycją, jakimś pożal się Boże „zarządzeniem". Nauczyciel nie może być kuglarzem czy kiepskim aktorem, który by „na odczepne", bez przemyślenia sprawy i co najważniejsze, bez przekonania pozorował jedynie stosowanie nowoczesnych metod. Rzecz wymaga dyskusji, konfrontacji „starego" i „nowego" w pedagogice. Tym niemniej sprawy nie można odkładać na czas nieokreślony. Na oścież, otwieramy drzwi naszej szkoły, by przez nie wtargnął powiew odnowy.

Przy tym zachowujemy rozwagę, liczyć się musimy z realnymi możliwościami. Stawiając przed szkołą nowe, b. poważne zadania pamiętać musimy, że nauczyciel, szkoły podstawowej zwłaszcza, jest jeszcze b. nisko uposażony, b. często, szczególnie jeżeli jest obarczony rodziną, musi pracować dodatkowo, by jakoś związać koniec z końcem i stąd nie może całkowicie i bez reszty poświęcić swój czas pracy w jednej szkole. Pozatem szkoła chyba zawsze ze swej natury będzie w pewnym stopniu instytucją tradycjonalistyczną, bo przecież jest ona jakimś łącznikiem między dawnymi a nowymi laty.

Zresztą tak być powinno, że „nowe" zanim się upowszechni musi przejść ogniową próbę sprawdzenia. I dlatego wprowadzając nowe programy nauczania eksperymentować pozwalamy tylko nielicznym nauczycielom pod opieką placówek naukowych. Natomiast wprowadzenie metod już sprawdzonych jak najszerzej się stosuje w tzw. szkołach wiodących.

Tym wielkim zadaniom wprowadzenia nowych treści i nowych metod nauczania (wychowania — również!) szkoła polska podoła. A efekty widoczne będą dość wcześnie, o ile towarzyszyć jej będą, zrozumienie całego społeczeństwa. Owo zrozumienie wyrazić się musi nie tylko w stwarzaniu szkole coraz lepszych warunków pracy (budynki, wyposażenie), ale również w widocznych przejawach szacunku i uznania dla tej ofiarnej grupy społecznej, od której ideowości i oddania zależeć ostatecznie będzie socjalistyczny, nowoczesny kształt polskiej szkoły — nauczycieli.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

Ludwik Kiesura — linoryt — 1964 r.

LISTY do REDAKCJI

W związku z artykułem Tadeusza Chróścielewskiego „Sprawa wcale nie błaha" („Odgłosy" R. VIII. nr 33(349) z dnia 22.VIII. 1965), w którym autor zarzuca Wojewódzkiemu Konserwatorowi Zabytków w Łodzi „wyjątkowo nieprzemyślaną, niefortunną, a nawet skandaliczną decyzję" wyrażenia zgody na „usunięcie i, jak należy przypuszczać zniszczenie" pomnika doktora Hildebranda z cmentarza przykościelnego kościoła OO. Bernardynów w Piotrkowie Tryb., Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej — Wydział Kultury w Łodzi wyjaśnia:

Decyzja Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków z dnia 4.VI. 65 r. l. dz. Kl. IV-66/14/65 dotyczyła żelaznego grobowca z II połowy wieku XIX znajdującego się również na cmentarzu przykościelnym kościoła OO. Bernardynów w Piotrkowie Tryb., a nie pomnika doktora Hildebranda. A oto uzasadnienie: „Grobowiec żelazny z II połowy w. XIX nie posiada większych wartości zabytkowych i artystycznych i z uwagi na zły stan techniczny może być rozebrany i przeniesiony na inne miejsce w obrębie kościoła i klasztoru, ewentualnie umieszczony w magazynie klasztornym".

Jak wynika z treści decyzji, zgoda na usunięcie nie jest równoznaczna ze zniszczeniem obiektu — jak sugeruje autor artykułu. Powyższa decyzja była wysłana do P.M.R.N. w Piotrkowie Tryb. — Wydziału Budownictwa, Urbanistyki i Architektury z odpisem do klasztoru OO. Bernardynów i Wydziału Kultury P.M.R.N. w Piotrkowie.

Autor artykułu stając w obronie „niewielkiego klasycystycznego obelisku z piaskowca" — nie przeczytał widocznie tej „nieprzemyślanej" decyzji konserwatora, a wystarczyła mu jedynie ustna relacja kompetentnego przedstawiciela piotrkowskiego Wydziału Kultury. Szkoda, że niektórzy publicyści, którzy chcą „zwrócić uwagę opinii publicznej na dziwną, oględnie mówiąc decyzję" — opinie swoje opierają jedynie na ustnych relacjach nie badając sprawy, ani na miejscu — na terenie klasztoru, ani w Urzędzie Konserwatorskim.

Taka notatka w prasie nie tylko wprowadza w błąd „Opinię Publiczną, ale również wyrabia złą opinię" o nieprzemyślanych i skandalicznych decyzjach P.W.R.N. — podpisanych przez Woj. Konserwatora Zabytków.

W związku z powyższym Wydział Kultury P.W.R.N. w Łodzi prosi Ob. Redaktora o sprostowanie zaistniałej pomyłki na łamach Waszego tygodnika, bo dla nas „sprawa ta też nie jest błaha".

Do pisma załączamy 1 egz. zdjęcia fot. obiektu, którego dotyczyła ta niefortunna decyzja.

(—) BOLESŁAW URBAŃSKI

kierownik Wydziału Kultury

EUGENIUSZ KUDAJ

„FRYDERYK CHOPIN" WYCHODZI W MORZE

Miarowe dudnienie kół usypia mnie i nastraja raczej melancholijnie. Jadę do domu. Jeszcze parę godzin temu bawiłem się w marynarza. Właściwie, to zbyt mocne określenie. Ot, po prostu płynąłem na jednej z najnowocześniejszych jednostek flotyli rybackiej — statkiem bazą typu B64 o nośności 9.200 TDW. Tego rodzaju okazja nie zdarza się często, toteż gdy do redakcji przysłano ze stoczni zaproszenie, spakowałem walizkę i znalazłem się w Gdańsku.

W stoczni przyjęto mnie i innych zaproszonych dziennikarzy bardzo serdecznie. Młody człowiek, jak się okazało opiekun naszej grupy, pracownik biura naczelnego dyrektora — W. Stawski — po przydzieleniu kajuty zaprosił nas na kolację. W messie oficerskiej były jeszcze wolne trzy miejsca. Trochę dziwnie jak na mój gust ustawione krzesełka. Chcę poprawić. Nie da rady. Przymocowane na stałe do podłogi. Można jedynie obracać się na nich w kółko tak, jak na taboretach fortepianowych.

Przy sąsiednich stolikach gorąca dyskusja — prawie kłótnia. Czyżby to współpasażerowie rejsu, dziennikarze, tak namiętnie omawiali usterki budowniczych statku? Przysłuchuję się uważnie, czekając na posiłek. Steward podaje wędlinę, pieczywo herbatę i kieliszek wódki. A przy sąsiednich stolikach wre...

— Kapitanie! — ktoś woła. — Proszę podpisać protokół.

Aha — pomyślałem — to chyba jednak nie dziennikarze.

Kapitan statku, ostatnie trzy doby nie schodził wcale na ląd, a mieszka dosłownie parę kroków od nadbrzeża stoczni. On i główny budowniczy statku inż. T. Deptała użerają się z członkami technicznej kontroli Urzędu Morskiego. Powoli gwar cichnie i messa się opróżnia. Pozostaje jeszcze dwóch inspektorów. Jeden twardo grozi, że o ile nie zostanie usunięta jakiegoś tam rodzaju usterka, nie podpisze zezwolenia na wyjście z portu.

W międzyczasie zdążyliśmy zjeść przystawkę i jakieś gorące danie. Nawet nie zwróciłem uwagi co jem, wsłuchując się w dyskusję ekspertów. Terminologia, określenia, cały ten nie znany dla mnie morski słownik, absorbują całą moją uwagę. Tematem sporu był brak łączności kabiny pierwszego mechanika z maszynownią. Inż. Deptała tłumaczył groźnemu inspektorowi władz morskich, że centrala telefoniczna jest w trakcie prób, że łączność naprawdę działa, i tak dalej... Nic nie pomaga. Tam gdzie chodzi o przepisy i bezpieczeństwo życia ludzkiego ludzie pilnujący tych przepisów są bardzo twardzi. Poza pracą, na lądzie, są ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni.

Gdy na chwilę zmęczeni dyskutanci odsapnęli, olśniony nagle pewną myślą podsuwam: — a może by tak połączyć pierwszego mechanika z maszynownią zwykłym telefonem polowym?

Podchwytują razem: — Oczywiście!

Przepisom stało się zadość. Protokół zostaje podpisany.

Po pokładzie „Fryderyka Chopina" bo taką nazwę nosi baza, uwijają się stoczniowcy. — Gwizd z mostku sterowniczego. Wszyscy nie zaokrętowani na statku muszą natychmiast zejść na ląd.

Podniesiono trap. Do statku podpłynęły stoczniowe holowniki. Wokół burt i na pokładach nadbudówek dziobowych pełno ciekawych. Na mały, przysadzisty holownik rzucono linę holowniczą, grubości ręki dorosłego człowieka. Holownik „Lew" zasapał, stanął prawie w miejscu i dopiero po chwili zaczął obracać dziesięciotonowego olbrzyma w stronę morza. Opuszczamy nadbrzeże. Obok „Fryderyka" stoi zwodowany „Stanisław Moniuszko". Uwijają się na nim brygady stoczniowców. Uderza nas zbieżność nazw statków. Oba noszą nazwiska dwu wielkich kompozytorów polskich. To armator radziecki, dla którego wybudowano obie bazy, życzył sobie, aby najnowocześniejsze statki-przetwórnie nosiły te właśnie nazwy. Tego typu jednostki przeznaczone są wyłącznie do pływania w warunkach arktycznych.

W bardzo szybkim tempie powiększa się tonaż polskiej floty rybackiej. Tajemnica tkwi w tym, że gdzieś około roku 1970 nastąpi podział na akweny i od tego okresu nie będzie wolno powiększać ani tonażu, ani ilości statków rybackich. Jedynie na miejsce wycofanych jednostek wprowadzi się nowsze, bardziej zmodernizowane. Łowić wolno będzie tylko w posiadanym akwenie, którego wielkość odpowiadać ma wielkości floty rybackiej. Dlatego też w wielu stoczniach świata buduje się statki-przetwórnie, trawlery rybackie, trawlery-przetwórnie i inne przydatne w rybołóstwie morskim jednostki. Dla radzieckiego armatora zwodowano do dnia 31 maja br.: dwa trawlery-przetwórnie: „Generał Rachimow" i „Aurigа" po 2.670 BRT każdy, dwie bazy-przetwórnie: „Gwiazda Polarna i „Stanisław Moniuszko". Przekazano już do eksploatacji „Sewryba", „Fryderyka Chopina" każdy po 10.000 TDW. Jeden statek - przetwórnia kosztuje 305.000.000 zł.

Wypływamy powoli z basenów portowych. Już nadbrzeże Westerplatte, przy którym widać olbrzymi kopiec, stanie tam monumentalny pomnik ku czci bohaterów. I oto pełne morze. Holowniki odrzuciły cumy i statek porusza się o własnych siłach. Wypłynęliśmy daleko na redę. Wyłączono motory i zarzucono kotwice. Przez radio poproszono wszystkich dziennikarzy do świetlicy na konferencję prasową. Idziemy niezbyt chętnie: mamy już doświadczenie z podobnymi imprezami. Ale gdy dyrektor naczelny stoczni, inż. St. Piasecki, zaczął mówić zaczęło wzrastać nasze zainteresowanie. Dowiedzieliśmy się, że jesteśmy potęgą w budownictwie statków rybackich. Zajmujemy pierwsze miejsce w świecie w ilości budowanych jednostek. Za nami są takie potęgi jak Japonia, USA czy NRF. Stoczniowcy NRF mają np. bardzo poważny kłopot z budowa statku bazy typu B64 (czyli takiego, jakim jest „Fryderyk Chopin" — Kadłub statku nie wytrzymuje prób na zmęczenie i po prostu pęka w połowie. Nasze konstrukcje kadłubowe są na poziomie światowym. Trzeba jednak stwierdzić, że przemysłem okrętowym za mało interesują się czynniki nadrzędne. Dla przykładu — dwa miliardy zł przeznacza się na rozbudowę i modernizację tej gałęzi przemysłu, a cztery miliardy na przemysł motoryzacyjny. Według opinii kierownictwa stoczni — te dwa miliardy to stanowczo za mało.

Następnego dnia wypływamy w morze. Bractwo dziennikarskie oblega wszystkie mostki na rufie, najgęściej jednak mostek sterowniczy. Wachtowi oficerowie z grzeczności znoszą obecność intruzów, przeszkadzających w sterowaniu statkiem. Pytania, pytania. Największym powodzeniem cieszy się radar.

Samotnie wyruszam na zwiedzenie statku. Maszynownia. Wśród różnego rodzaju przewodów uwijają się w kombinezonach mechanicy od „Cegielskiego". Oni pierwsi kontrolują pracę silnika i na bieżąco usuwają drobne defekty. Widać właśnie, jak jeden z nich w szczelnym gumowym kombinezonie, z kapturem na głowie, wychodzi z wnętrza silnika; przed chwilą sprawdzał czy wszędzie dociera olej, czy łożyska na korbowodzie nie zagrzewają się nadmiernie. W dalszej wędrówce poznałem automatyczne urządzenie do sterowania statkiem i dyspozytornię. Powędrowałem jeszcze wyżej. Coraz bardziej gorąco. Po stromych schodach wdrapałem się na najwyższą galeryjkę wentylatorów. Jeszcze wyżej... i znalazłem się na szczycie „komina". Komin to po prostu olbrzymi wylot wentylatora. Oddzielnymi przewodami uchodzą spaliny. Zmęczony wędrówką, z przylepioną do pleców koszulą, zszedłem po zewnętrznej drabince na pokład, który przeznaczony jest do lądowania helikopterów. Tak, tak! Może tu swobodnie lądować helikopter. Obok komina jest bardzo przestronny hangar.

Po południu rozpoczęła się seria wizyt u lekarza. Nie wiadomo tylko, czy pacjenci skarżyli się na dolegliwości, czy też były to wizyty kurtuazyjne, mające na celu poznanie pani doktór. Wymyśliłem ból wątroby i poznałem bardzo miłą (ładną) młodą lekarkę. W rozmowie okazało się, że marynarze najbardziej cierpią na bóle głowy. Nie zdążyłem dowiedzieć się dlaczego. Zazdrośni koledzy hurmem weszli do kajuty lekarskiej.

Noc jakoś nie była spokojna. Ciągłe próby akustyczne różnych sygnalizatorów nie pozwoliły zasnąć. Okrętowy dzwon co godzinę dawał znać o sobie. Była to próba na jego słyszalność. Kontrolerem była łódź, której załoga odpłynęła od statku na odległość około pięciu mil.

Następny dzionek rozpoczął się przelotnymi opadami; zorganizowano drużyny i dalejże młócić roberka za roberkiem. Poniektórzy zaczęli szukać zajęcia w kuchni przy czyszczeniu truskawek, przeznaczonych na podwieczorek. Pogoda coraz bardziej zaczyna się psuć. Deszcz już nie siąpi, a leje. Zaczyna huśtać. Na pokładzie widać tylko tych najtwardszych. Inni leżą w kajutach z nieprzyjemnym uczuciem zawrotów głowy. W taki czas, siedząc w messie przy kawie, dowiaduje się od dyr. stoczni ciekawych rzeczy. Okazuje się, że do końca maja przekazano do eksploatacji siedem statków o tonażu w TDW 54.900 (nie licząc naszego „Fryderyka"), a zwodowano piętnaście o tonażu w DTW 103.900. Czy to dużo czy mało? Mogłoby być jeszcze więcej, ale w stoczni potrzebne są inwestycje, a inwestycje — to pieniądze. Z tymi ostatnimi jest krucho. Takich potrzebujących w Polsce jest dużo, nie wszystkim można przydzielić kredyty, trzeba oszczędzać, gdzie się da. Przez racjonalną gospodarkę, stocznia zaoszczędziła 24,5 miliona zł, co stanowi 0,9 proc. ogólnego rocznego zużycia materiałów. Stocznia ma dość duże trudności ze swymi krajowymi dostawcami, których jest aż 905. Z Łodzi jest ich 39, a z województwa 19. Czy z nimi dobrze się współpracuje? Na to pytanie odpowiedzi nie otrzymałem. Jedynie uwaga „to zależy", daje dużo do myślenia. Nie wiedziałem czy jako łodzianin mam się cieszyć, czy raczej rumienić. Pozostawiam to jednak kooperującym zakładom z naszego regionu i miasta.

Moi rozmówcy skarżą się, że w kraju jest za mało zainteresowania problematyką morską. Przeciętny zjadacz chleba nie ma pojęcia z jakimi trudnościami musi borykać się stocznia. Byłoby dobrze — mówi inż. Piasecki — gdyby robotnicy zakładów kooperujących, których produkcja nie szczyci się najlepszą jakością, odwiedzili stoczniowców. Naocznie przekonaliby się, jak musi wyglądać produkcja dla statków.

Podróż trwa dalej. Nasz „Fryderyk" zdaje egzamin. Eksperci radzieccy są zadowoleni. Kolos, wszelkie rozkazy ze sterówki o zmianach kursu, stopu, czy innych manewrów wykonuje sprawnie. Na pokładzie nie odczuwa się tych zmian. Nagle — moje rozmyślania przerywa donośny sygnał syreny. Alarm szalupowy! Wszyscy muszą znaleźć się przy łodziach ratunkowych. Tego rodzaju próby wykonywane są na każdej jednostce pływającej. Taki jest przepis Urzędu Morskiego. Trzeciego dnia podróży robimy zwrot i kierujemy się do portu. Po licznych próbach stajemy na redzie. Do statku podpływa holownik. Po trapie opuszczamy pokład „Fryderyka", na którym wszystkie burty oblepione są załogą polską i radziecką.

W parę godzin potem jadę do domu. Miarowe dudnienie kół usypia mnie i nastraja raczej melancholijnie. Mam jeszcze w uszach przeciągły ryk syren, którym „Fryderyk" pożegnał swoich gości.

ŚMIERĆ KANONIKA

Dalszy ciąg ze str. 1

życiu — niczego nie przeczuwali. Wesela jak zawsze kończyły się bijatykami, w parne wieczory dziewczęta omdlewały z miłości. Chłopcy na myśl o wojnie czuli się nieswojo i dorośle. Starsi swe myśli topili w wódce.

W zamku kwaterowało wojsko — kompania piechoty, któregoś z wołyńskich pułków. Milczący, posępni Ukraińcy w polskich mundurach wylegiwali się pokotem na okłotach słomy lub kopali w nadrzecznym piachu szybko podchodzące wodą okopy. Saperzy rozpięli rzadkie zasieki z drutu kolczastego, ciągnąc te „fortyfikacje" przez łąki, aż do drogi na Bobrowniki. W miasteczku przed domami leżało coraz więcej worków z piaskiem, tylko co wstawione po gradobiciu szyby pokrywały się papierowymi krzyżami. „Jesteśmy silni, zwarci, gotowi" — dudniło wieczorami z głośników, jakie nieliczni posiadacze radia ustawili na oknach. Jesteśmy silni — mówili żołnierze tłoczący się pod oknami. I oni i ludzie z miasteczka spoglądali z niepokojem w mrok, tam gdzie pod zamkiem rozpinała się pajęczyna drutów kolczastych, mająca zatrzymać jeszcze wciąż jakby nie zdecydowanego na atak najeźdźcę.

I właśnie te zasieki spędzały sen z oczu niejednemu działoszyniakowi — „Jąk nie daj Boże, to front będzie chyba tu, na Warcie. A co wtedy z moją chatą?" Ale doświadczeni, pamiętający tamtą wojnę znajdywali i na to radę: „trzeba co lepsze rzeczy przenieść na tyły gospodarstwa i tam trzymać pod osłoną kamiennej, frontowej ściany, wtedy im artyleria nic nie poradzi".

24 sierpnia mobilizacja wymiotła z Działoszyna mężczyzn. Szli na stację odprowadzani przez zapłakane matki i żony. „Nie martwcie się, wrócimy szybko". Na samotne kobiety spadły nowe troski. 31 sierpnia wybuchła panika, tłum rzucił się na sklepy Działoszyna. Chociaż Warszawa nadawała uspokajające audycje, wszyscy już zrozumieli, że wojna zacznie się lada chwila. O zmroku dyżurni LOPP chodzili po zaułkach zapowiadając, że jutro należy oczekiwać próbnych ćwiczeń gazowych. Więc nie bać się samolotów i maski w pogotowiu! A jak kto maski nie ma — to zrobić pakiecik pegaz: „torebka z płótna lnianego, napełniona ziemią, zwilżona własnym moczem".

1 września 1939 roku dzień wstawał nad Działoszynem późno i nieochoczo. Od Warty napływała gęsta mgła, tłumiąc światło poranka. Właśnie wybiła godzina piąta, kiedy nisko, tuż nad dachami z ciężkim warkotem przeleciały samoloty. Żołnierze okrzyczeli, że to nasze, że rozpoznali znaki.

W chwilę potem z takim samym ciężkim hukiem, tak samo nisko, we mgle, tuż nad dachami, nadpłynęła druga fala samolotów. Eksplozje bomb oznajmiły miasteczku, że wojna się zaczęła.

• • •

3 września pancerne wozy zwiadowcze — stalowo-szare trumny, znaczone czarnymi krzyżami — wjeżdżały wolno do Raciszyna. Wieś ze zgrozą spoglądała pustymi oczodołami okien na inwazję. Wozy jeden za drugim, gniewnie porykując, wychodziły na skraj wsi. Zwlekały z ukazaniem się w miejscu odkrytym dla tamtej strony, dla Działoszyna. Wyskakiwali z nich żołnierze, zaraz przypadając do piaszczystych wydm. Tamta strona wciąż milczała. Wreszcie niemieccy sygnaliści zafurkotali chorągiewkami, padły chrapliwe rozkazy i na brzegu Warty zaroiło się od wojska.

W pół godziny później na wydmy nad Wartą zajechał Panzerspähwagen generała Dilla i sam generał choć nie taki już młody lekko zeskoczył z wozu na ziemię. Wysoki, chudy, sztywny. Prusak w każdym calu, przystanął w niedbałej a wystudiowanej pozie. Żołnierze patrzyli na niego z podziwem — wyglądał władczo i wojowniczo.

Generał skinął i natychmiast adiutanci, czujni gotowi na każdy jego rozkaz, ustawili przed nim lornetę nożycową i stolik z mapą polową. Dill bez pośpiechu zdjął czarne, nowiutkie rękawiczki i swą arcypruską czapkę, oddał to stojącemu za nim ordynansowi, przygładził siwiejące ostrzyżone na jeżyka włosy i schylił się ku lornecie.

Most na Warcie wyglądał jak zabawka sklecona przez dzieciaków i przez nich zburzona. Po drugiej stronie Warty czarno dymiły zgliszcza domów i stodół. Generał uważnie sunął wzrokiem po tej tragicznej panoramie: nigdzie nie dostrzegł żadnego ruchu, zgadzały się więc meldunki, jakie otrzymał od zwiadowców. Wartę można było natychmiast sforsować, nieprzyjaciel już uciekł. Miasteczko wymarłe i porzucone czekało na zdobywcę.

Dill zadowolony wyprostował się. — Ausgezeichnet! — powiedział swym twardym, pruskim akcentem i skinął na jednego z adiutantów. — Proszę popatrzeć — w głosie jego tak zazwyczaj szorstkim zabrzmiało niezwykłe zadowolenie ze swych żołnierzy. Z lotników. Z całej świetnej i niezawodnej niemieckiej maszyny wojennej. Wreszcie i z siebie samego — uśmiechnął się nawet i zachęcił raz jeszcze — proszę popatrzeć, to się nazywa dobra robotą!

W tej samej chwili na Wzgórze Wiatrakowe zajeżdżał galopem ostatni już w okolicy działon polskiego DAKu. Jego dowódca bardzo dosłownie traktował rozkaz, iż ma ogniem osłaniać odwrót polskich oddziałów. Młody oficer już zeskoczył z konia, stał na najwyższym wzniesieniu i z lornetą przy oczach, dysząc ciężko po forsownym galopie — już obserwował przeciwległy brzeg Warty, już dostrzegał stalowe trumny z czarnymi krzyżami, już widział ruchliwe sylwetki pewnych swego bezpieczeństwa żołnierzy niemieckich. Nie odrywając oczu od nich rzucił rozkaz — do boju! Słyszał teraz za plecami tak dobrze znany chrzęst uprzęży, szczęk żelaza, sapanie obsługi mozolnie toczącej działo po piachu. Z nawyku liczył w myślach „trzydzieści pięć, trzydzieści siedem" — odmierzając czas, w którym

WIETNAMSCY PARTYZANCI

Kim są?
Jak walczą?
Do czego dążą?

Oto pytania, na które stara się dać odpowiedź wysłannik włoskiego czasopisma Epoca, podając szczegóły dotyczące życia partyzantów południowo-wietnamskich, wśród których przebywał. Walka z partyzantami zdaniem amerykańskich żołnierzy to „pojedynek z cieniem" — wyczerpujące, nieustanne zmagania, bez chwili wytchnienia

Jak twierdzi jeden z wyższych oficerów amerykańskich, wietnamski partyzant jest żołnierzem całkiem odmiennego typu. Nie nosi munduru, a kiedy zostanie ujęty, w sobie tylko wiadomy sposób uchodzi z niewoli. Ten żołnierz może imponować

Aby zdobyć hart i opanowanie sam sobie zadaje tortury. Jest niezwykle pomysłowy — kawałki starych opon, butelki po francuskich perfumach przekształca w narzędzia walki. Pożywienie partyzanta zaprowadziłoby w ciągu paru dni żołnierza amerykańskiego czy europejskiego do szpitala.

Wietnamski partyzant to żołnierz niezwykły. Walka z nim jest bardzo trudna. Zdarza się często, że wojska rządowe zajmują wieś, w której ponoć są partyzanci. Nie zastają jednak nikogo. Sytuacja zmienia się z nastaniem zmroku. Gdy tylko ciemność obejmie pola ryżowe i dżunglę małe oddziałki partyzantów wracają do wsi. Są wśród nich dziewczęta 15—16 letnie. Noc przekazuje partyzantom władzę nad deltą Mekongu, ale zanim wstanie świt — „armia cieni" znika.

Aby zrozumieć kim są ci ludzie i dlaczego walczą trzeba poprostu utożsamić się z nimi. Partyzant to żołnierz pełen poświęcenia, który za sprawę walczy do końca. O tym zapomnieć nie wolno! W technice przygotowywania zasadzek stali się partyzanci mistrzami nie do pokonania. Ich klasyczna metoda walki to atak na małe przedpole, a potem oczekiwanie na wojsko, które wrogowi przybędzie z pomocą. Informowani przez ludzi — mają wszędzie swoich zwolenników — że kolumna przybywa, partyzanci kopią wzdłuż drogi otwory, w których umieszczają miny. W ten sposób odcinają nieprzyjacielowi drogę powrotu. Swoje wypracowane metody walki partyzanci łączą z dużą znajomością nowoczesnej techniki. Jeżeli decydują się na zaatakowanie jakiegoś obiektu, to wpierw wysyłają tam swego człowieka, który ma za zadanie pozyskać straże i zdobyć je do współpracy. Potem dopiero małymi grupami wdzierają się partyzanci. Zanim przystąpią do ataku mają dany obiekt dokładnie rozpoznany. Przestudiowano go na szeregu szkiców i na modelu wykonanym w błocie. Pewien amerykański oficer opowiadał, że miał w ręku takie właśnie szkice i modele z gliny, ukazujące rozmieszczenie amerykańskich baz. Podczas ataku na bazę w Pleiku partyzanci znali nawet dokładnie rozmieszczenie drzwi i okien.

Żołnierze rządu sajgońskiego i Amerykanie, w marszu przez dżunglę, muszą mieć oczy szeroko otwarte, aby nie wpaść w doły zakryte gałęziami i trawą, aby nie zaczepić o kawałek kolczastego drutu, który uruchamia natychmiast prymitywną kuszę z zatrutą strzałą.

W miastach, partyzancka broń jest jeszcze bardziej pomysłowa. Pompka rowerowa staje się wyrzutnią zatrutych grotów, a małe bomby mają wygląd wiecznych piór. Kobiece zapinki do włosów są nie mniej groźną bronią. Jeśli chodzi o kobiety to nie pozostają na uboczu, ale wspomagają partyzantów jak tylko umieją i mogą. Zdarza się, że wojska rządowe atakują wioskę, w której kryją się partyzanci. Wtedy wybiegają kobiety z dziećmi na rękach i krzyczą: — „Mordercy, zabijajcie własny naród". — Te kobiety nazwali partyzanci „niszczycielkami armat."

Inna forma współpracy kobiet wietnamskich z partyzantką to sianie dywersji i niezadowolenia wśród żołnierzy reżimu sajgońskiego. W całym południowym Wietnamie, gdziekolwiek tylko są garnizony wojskowe, dziewczyny podchodzą wieczorami i namawiają żołnierzy do dezercji. Jeżeli w garnizonie dziewczyna ma kogoś z rodziny wzywa go po imieniu: — „Tang! Tang! czy mnie słyszysz? Twoja wioska jest już wolna. Pole ryżowe czeka na ciebie! Tang wracaj do wsi. Czyż chcesz ginąć za Yankees'ów?"

Także i w Sajgonie wiele dziewcząt współpracuje z Wietnamską Armią Ludową. W 4500 barach, jakie znajdują się w tym mieście, dziewczęta tam zatrudnione zbierają potrzebne informacje zasłyszane od urzędników rządowych i przekazują je swoim.

Ale broń najbardziej skuteczna to ta, którą dzierży w dłoni partyzant oddany bez reszty walce o wolność. Podczas jednego z ataków setka partyzantów, odzianych w krótkie czarne spodnie i sandały z kauczuku, z granatami w ręku i na piersiach wdarła się na druty kolczaste okalające obóz wroga. W kolejnych atakach partyzanci jak „kamikaze" eksplodowali niszcząc nieprzyjaciela.

A przecież na pierwszy rzut oka ci ludzie nie przypominają wyglądem żołnierzy. Najczęściej rekrutują się z chłopów. Żołd jaki pobierają jest bardzo niski a różnica w poborach prostego żołnierza i dowódcy jest mała. Większość żołnierzy nie nosi mundurów ale czarne, bawełniane spodnie, a na nogach sandały ze starych amerykańskich opon samochodowych. Jeszcze 6 lat temu używano karabinów z czasów wojny z Francją. Dziś dysponują nowoczesną bronią automatyczną i przeciwczołgową. Uzbrojenie partyzanta stanowi hamak nylonowy, zastępujący mu łóżko, wiązka granatów i lampa. W czasie żniw żołnierze pracują na roli. Wówczas mogą sobie pozwolić na taki luksus, jak butelka piwa lub paczka kambodżańskich papierosów. Kiedy walczą, pożywieniem jest porcja ryżu z kilkoma ziarnami pieprzu. Zawsze noszą tygodniową rację żywnościową w postaci białej kiełbasy owiniętej w płótno dookoła szyi.

W partyzanckim wojsku panuje surowa dyscyplina. Pozornie między oficerami a szeregowcami nie ma żadnej bariery. Ćwiczenia są niezwykle ciężkie. Kiedy nie ma walki pobudka zrywa ze snu żołnierzy o godz. 5 — potem 10 minut gimnastyki, kąpiel i śniadanie składające się z porcji ryżu lub ryby. Pierwsze godziny poranka przeznaczone są na naukę marksizmu, higieny, geografii, następnie ćwiczenia w strzelaniu. Południowy posiłek — porcja ryżu — odpoczynek i znów szkolenie, tym razem — walka w dżungli. O 5 po południu gry sportowe. W ten sposób żołnierz ma cały dzień wypełniony, jest wciąż zajęty, jest w ciągłym ruchu. I tu tkwi sens doskonałej kondycji fizycznej oddziałów partyzanckich.

Mimo że tak twarde jest życie żołnierzy pociąga ono wielu młodych wietnamczyków, przede wszystkim tych, którzy nie chcą walczyć w wojsku rządowym. Liczny jest też udział chłopów, którzy dobrze wiedzą, że po skończonej wojnie ziemia stanie się ich własnością. Nie można jednak pominąć faktu, że większość żołnierzy partyzanckich i żołnierzy Wietnamskiej Armii Ludowej to ludzie świadomi sprawy o jaką walczą. — „Moje życie, moja praca należą do historii" — pisał jeden z nich przed śmiercią.

Vo Nguyen Giap, zwycięski generał spod Dien Bien Phu pisze w swej książce, że partyzantka wykazuje 3 okresy rozwoju: 1) ukrytą mobilizację i niewielkie ale ciągłe akcje partyzanckie. 2) akcje na większą skalę. 3) szeroko zakrojoną ofensywę wojskową.

— „Tylko długotrwająca walka może zamienić naszą słabość w siłę" — pisze Giap. — „Wielkie zwycięstwa rodzą się z tysięcy drobnych zwycięstw." —

Teraz już tylko pytanie, czy partyzanci są już gotowi, aby wejść w trzecią fazę walki?

Tymczasem pół miliona wojsk sajgońskich, milicja i Amerykanie walczą nadal z wrogiem niewidzialnym, prowadzą wojnę z „armią cieni".

Oprac. **M. TYMOWSKA**

działon przygotuje tę starą francuską siedemdziesiątkępiątkę do boju. I jednocześnie ustalał w myślach cel: ten od razu dostrzeżony błysk odbitego światła tuż obok wozu pancernego mógł oznaczać tylko jedno, ktoś stamtąd prowadził obserwację. Mógł to być tylko dowódca, może wyższy dowódca? Młody rotmistrz już obliczał odległość, już formułował dane rozkazu.

— Gotowe!

Polski oficer strzelający z Wzgórza Wiatrakowego okazał się mistrzem swej sztuki. Czekał na taką chwilę i oto wziął teraz inicjatywę w swe ręce; pierwszy pocisk archaicznej polówki z wysokim, wesołym śpiewem przeleciał nad Działoszynem, uderzył płasko w nurt Warty, odbił się od niej i wybuchł wysoko, zasypując odłamkami chaty Raciszyna. Drugi, wydłużony strzał uderzył w sam cel. Wybuch miotnął na pancerny wóz generała Dilla piachem i żwirem. Gdy opadł dym i uniosły się głowy przypadłych do ziemi żołnierzy, oczom ich ukazał się niezapomniany widok: obok płytkiego, kurzącego leja leżał generał: okaleczone ciało, czapka zmazana krwią, strzęp mapy.

* * *

Kanonik Ignacy Chartliński budził się zawsze o czwartej rano. Był to niezmienny zwyczaj pięćdziesięcioletniej pracy kapłańskiej, może po prostu nawyk późnej starości: ksiądz kanonik tego lata ukończył siedemdziesiąty trzeci rok życia.

Zazwyczaj tuż przed piątą kanonik wchodził do zakrystii, a tam czekał już na niego stary kościelny, pan Teodor Kubicki. Ubierając szaty liturgiczne tęgi, siwy i apodyktyczny ksiądz Chartliński musiał wysłuchiwać od lat tych samych lamentów i narzekań kościelnego, który choć dużo od kanonika młodszy, żył w nieustającym rozpamiętywaniu swych chorób i w wielkim lęku przed śmiercią. Biadania te trochę irytowały kanonika, który młodzieńczo kochał życie.

— Nic ci nie jest, Teodorze — mruczał w przerwie między dwoma wersetami odmawianego z pamięci brewiarza — jesteś zdrów jak rydz — albo jeśli był w dobrym humorze — przecież nic ci nie jest Bogumile!

W tym miejscu codziennego dialogu pierwszego września wojna dosięgła Działoszyn. Powtórny ryk nisko nadlatujących samolotów zagłuszyły bliskie wybuchy, w ścianę kościoła ciężko uderzył podmuch, posypały się szyby i witraże.

Kościelny padł na kolana — Boże miłosierny co to? Ksiądz Chartliński — żołnierz pierwszej wojny światowej — od razu zrozumiał, iż zaczęła się wojna. Od tej chwili opanowało go przeczucie śmierci. „Zostaw mnie Teodorze, idź się ukryć, zostaw mnie tutaj". Z zakrystii przeszedł przed główny ołtarz zasypany gruzem i okruchami szkła, tu zastał go drugi, gwałtowniejszy jeszcze niemiecki nalot. „Byłoby pięknie właśnie tu ją spotkać, na stopniach tego ołtarza" — myślał kanonik, opanowując chęć ucieczki. Ale i tym razem w kościół nie uderzyła żadna bomba a gdy detonacje ucichły nadbiegł zdyszany, pół przytomny z lęku Kubicki. Szarpiąc klęczącego kanonika za ramię, tłumaczył, że nie można tracić czasu, że wszyscy z miasteczka uciekają. Kanonik dał się wyprowadzić na próg kościoła, tu stanął, spojrzał na szalejące wokół pożary, na ludzi uciekających z całym dobytkiem na oślep, przed siebie, na żołnierzy opanowanych paniką, strząsnął z ramienia rękę starego kościelnego i szepcząc „Dies irae, dies illa... zawrócił przed ołtarz. Kościelny stał jeszcze chwilę w drzwiach zawodząc — „księże kanoniku księże kanoniku", — a potem (nigdy już sobie tego nie darował) w paroksyźmie lęku pobiegł za uciekinierami.

Ksiądz pozostał sam i cały dzień spędził w kościele. Dopiero o zmroku zgorączkowany i półżywy ze zmęczenia powlókł się na plebanię. Tam znaleźli go żołnierze, którzy w nocy sformowali ostatnią już konną kolumnę uciekinierów. „Zostanę tutaj" — powtarzał kanonik ze starczym uporem na wszystkie namowy.

Przed świtem Działoszyn opustoszał i o brzasku ksiądz Chartliński znów wrócił do kościoła i zaczął odmawiać modlitwy za konających.

* * *

3 września Działoszyn po raz ostatni w tej wojnie padł ofiarą pożaru. Po śmierci gen. Dilla motocykliści-zwiadowcy pierwsi wjechali do miasteczka. By wykurzyć ukrytych w zasadzkach urojonych nieprzyjaciół, zaczęli pruskim zwyczajem podpalać ocalałe budynki: płonęły ostatnie strzechy, ogień wysoką ścianą przesunął się wzdłuż ulic, w godzinę później pozostało tylko jedenaście cudem ocalałych domów, reszta dopalała się w ogromnym pogorzelisku. Wśród niskich dymów zwiadowcy napróżno przetrząsali zakątki zrujnowanych zagród, napróżno w piwnicach wybuchały wiązki granatów, Działoszyn był pusty. Mieszkańcy uciekli pierwszego dnia, wojsko polskie wycofało się drugiego września.

Wreszcie na głównym trakcie zaczął się przemarsz zwycięskich wojsk, a przed kościołem zatrzymał się łazik dowódcy jednostki, która pierwsza wkroczyła do miasteczka. Tęgi, niemłody major Wehrmachtu, osłaniający oczy przed dymem pożarów okularami motocyklowymi, wydawał głośne rozkazy, przez polowy telefon, przyjmował jakieś polecenia, nanosił sytuację na mapę. Nagle z kościoła dwóch zwiadowców wyprowadziło kanonika: był w brudnej komży, osmoloną i pokrytą wielodniowym zarostem twarz znaczył mu wyraz rozpaczy. Żołnierze popychali go ku dowódcy lufami karabinów. Starzec podszedł do samochodu i jakby nie słysząc pytania czy zna język niemiecki uniósł w patetycznym geście ręce ku niebu. „Ruhe, Pfarrer, Ruhe", powiedział major, to samo w twardej i niezręcznej polszczyźnie powtórzył tłumacz. Ale kanonik nie słyszał, opanowany grozą patrzył na dzieło zniszczenia, na ginący w ogniu Działoszyn, na zabitego siwego chłopa, leżącego tuż obok samochodu na drodze, z twarzą ku ziemi. Cóżeście uczynili? — zawołał wielkim głosem. — Co wam zawinili ci ludzie? Bądźcie przeklęci, postokroć przeklęci!

— Co on krzyczy? — spytał major. — On zwariował. On nas przeklina — powiedział tłumacz. — Co takiego? — zdumiał się major. — On mówi, że jesteśmy mordercami. Że mordujemy ludność cywilną.

Major wyrwał spod pachy szpicrutę, przez moment zdawało się, że uderzy starego księdza, lecz zwyciężyło poczucie przyzwoitości: przy żołnierzach nie mógł przecież aż tak stracić panowania nad sobą. Pogrom wojsk polskich, płonące wsie i miasteczka, ten *smak zwycięstwa* odurzył niemłodego oficera i przypomniał mu marsz przez Belgię sprzed tylu lat. „Tam też nas przeklinali. Zawsze przeklinają zwyciężców" — pomyślał z zachwytem. A głośno powiedział do młodego tłumacza: — No i proszę, tacy oni są ci Polacy — po czym wrócił do swej roboty nad mapą.

— Co z nim zrobić zapytał tłumacz — Przeklina nas? — mruknął major, już zajęty swą pracą — Obraża mundur niemiecki. Soll erschossen werden!

* * *

5 września pierwsi wracający do ruin swych domów działoszyniacy odnaleźli i pochowali starego kanonika Chartlińskiego: leżał pod płotem przysypany paroma szuflami piasku. Śmierć miał lekką i polską: od kuli z bardzo pewnej ręki i z całkiem bliska.

* * *

Tego samego dnia w berlińskich gazetach ukazała się wiadomość o bohaterskiej śmierci generała Dilla i o przemianowaniu dla uczczenia jego pamięci owej miejscowości nad Wartą, gdzie stoczył ostatni swój bój o *Nowy Ład i Tysiącletnią Rzeszę* — jakiegoś marnego Działoszyna — na Dilltal.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

„Wzgórza bezimienne"

W bibliotece szkolnej znalazły się dzieła Nietzschego w przekładzie Leopolda Staffa. Marcin zgłosił się do Susłowa, który pełnił funkcje bibliotekarza. Ten zdziwił się i próbował odradzać.

— Zrobi tylko zamęt w głowie — przestrzegał.

— Może i zrobi, ale chciałbym poznać.

Susłow machnął ręką i powiedział, jak na starego filologa przystało:

— Zresztą filozofowie już tyle napletli, że teraz można z równą słusznością dowodzić wszystkiego. — I wydał książki.

Na pierwszy ogień poszło „Poza dobrem i złem", później „Wiedza radosna", „Tako rzecze Zaratustra" itd. Marcin nie mając czasu na naukę, tym bardziej go nie miał na lekturę. Lecz tu napotkał coś tak zupełnie odmiennego że nie zważając na nic — zatopił się bez pamięci w czytaniu. Wkrótce otoczył go nieprzebyty las twierdzeń, wniosków i spostrzeżeń, które wywracały na nice wszystko, co miał jako tako uskładane w głowie, i ukazywały świat z gruntu odmieniony

„Nie ma dla nas znaczenia — brzmiała wstępna treść wywodów filozofa — rozróżnianie dobra i zła, nas interesuje sprawa wartości rzeczy: co liche — to złe, co wielkie — to dobre. Miłość bliźniego jest bzdurą. Tak zwane dobre uczynki — to śmieszna, babska paplanina. Celem życia winno być najwyższe poznanie'"... itd. itd.

Oto były zręby nowego spojrzenia na świat. Aby uzasadnić swoje światobórcze twierdzenia, filozof wywracał cały system psychiczno - wyobrażeniowy człowieka, przewartościowywał jego odczucia i pragnienia. Jeśli widzimy na przykład na ulicy człowieka który złamał nogę, nie odczuwamy współczucią, lecz przestrach, względnie zadowolenie, że nie spotkało to nas. Filozof obalał wartość wewnętrznego doskonalenia, ale też i sens zwykłego, mieszczańskiego życia, a obraz wysypiającego się pod pierzyna mieszczucha stale występuje jako synonim ludzi najniższej kategorii. Nietzsche wzywa swoich „uczniów" do dźwignięcia się na wyżyny, które on już zajął i gdzie króluje samotnie. Przyznaje, że jest to filozofia trudna i niepopularna: wielu odstręczy, wielu cofnie z drogi i zwróci przeciwko niemu. Lecz jest pewien, że każdy, kto wart nazwy człowieka, musi ostatecznie wrócić do niego...

W jakiś czas potem Marcin zetknął się z Susłowem.

— Jakże tam lektura? — zapytał.

— Rewelacyjnie!

Susłow spojrzał znad okularów.

— Tak, to paradoksista.

Marcin po raz pierwszy spotykał się z tym pojęciem. Jeśli chodzi o własny sąd, to pozbierawszy się nieco w wytworzonym gąszczu rewelacyj, odważyłby się stwierdzić na razie przesadę. Jednak szokowała go siła przekonania filozofa, która zdawała się obalić wszelkie zastrzeżenia. Zresztą przeciwko wątpiącym i ludziom małej wiary Nietzsche wysuwał tak druzgocący oręż sarkazmu i ironii, że nie sposób było się do nich przyznać.

Z takiej zadumy wyrwał go raz jakiś skrzeczący głos, gdy szedł przez park na lekcję do swego komorniczaka.

— Panie Sobczyński, panie Sobczyński!

Z miejsca, gdzie siedział kiedyś przed spotkaniem ze Stefanią, dźwigał się starowina w sinej czapce i w palcie sinym, twarz — sama broda, włos bieluteńki, okulary druciane... Weteran...

— Pan mnie poznaje?

— Nie.

— U pani Siteczko.

— Nie.

— W tym korytarzyku.

— Nie.

— Przecież o mnie jest już pisane.

— Ja nic nie wiem o tym.

— No, że tam mieszka emeryt, bardzo stary. Dwie córki ma, one przychodzą co miesiąc i zabierają od niego pensję, tak jak ta Goneryla i ta druga, od tego Lira... Ale to się pisze L-e-a-r, wie pan?

— Nie, nic nie wiem ani o panu, ani o królu Lirze czy Learze i jego córkach, żeby były nie wiem jakie Gone-Ryle...

— I nie poznaje mnie pan?

— Aaa! Owszem, wpadłem na pana raz czy dwa w ciemnej sionce i tyle. Ale o pańskich córkach... Skądże? Tam i na pana ledwie miejsca starczyło. Wpadł pan, że tak powiem, en passant...

— En passant?

— No, tak mimochodem.

Ucieszył się dziad choć za tyle. Pogłaskał siwą brodę.

— A dlaczego ja tam jestem za enpassanta?

— A z kim bym ja teraz rozmawiał o Nietzschem? Z Susłowem?

— Choćby i z Susłowem.

— On nie ma czasu na to.

— To pan chce ze mną... o Nietzschem? No, to dawaj pan! Co tam pan ma? Bo pan wie, ja teraz sławny nietzscheanista. Sam sobie siedzę, córki pensję zabiorą. Dla mnie nawet na chleb nie ma. Tyle, co do pani Biłykowa.

— A kto to jest ta pani Biłykowa?

— To gospodyni. Przecież tam pisze, że mąż ciągle pije, a ona w dezabilu.

— Pisze? Może i pisze, Ale po co ją było przedstawiać publiczności? Niech ona tam incognito tarmosi się z mężem. W książce musi być także tłum bezimienny, rozumie pan? Do podmalowania tła...

— A ja?

— Pan musi być wydobyty z tłumu, choć pana tam faktycznie nie było.

— Aha, wydobyty z tłumu, powiada pan? I uwieczniony?

— Uwieczniony i to indywidualnie, mimo, że pana nie było, a Biłykowa była na pewno. To ona zostanie, jak pan powiada, w dezabilu, a pan będzie uwieczniony w charakterze ojca Goriot. Dlategoż i te Goneryle, choć ich też nie było, rozumie pan?

— Powiedzmy...

— Tylko, że pan nie dostanie całego tomu na 20 arkuszy. Uskuteczniaj się pan zaraz, na tej stronie, i później się nie znamy.

Przestraszył się starowina, ale nie tak znowu bardzo. Taki już nie zlęknie się byle jakiej fikcji.

— Więc do Nietzschego! — rzekł twardo Marcin.

— Jeszcze chwileczka — poprosił starowina. — Pan chce mówić o Nietzschem a pan ma go przecież wykonspektowanego... w luźnych rzutach że tak się wyrażę.

— A to by było dobrze?

— To by było bardzo źle. Trzeba w dialogu.

— Więc o Nietzschem. Najpierw: skąd pan bierze książki?

— Z biblioteki policyjnej. Nadrukowali tego, że aż ha. Gdyby było po niemiecku, to bym nie mógł przeczytać, bo tam wszystkie litery są jednakowe i ja nie wiem czy to „gefroren" czy „gesroren". Ale gdy jest po polsku to ja czytam...

— No, dobrze... A kim pan jest właściwie?

— Chce pan powiedzieć: kto pan jest?

— Nie... Kim pan jest? Nie zapytam: kto pan jest, bo to byłoby nie po polsku.

— Podrapał się dziadyga po głowie, uśmiechnął szelmowsko.

— Wie pan, jakby to powiedzieć...

— Normalnie.

— Bo ja jestem kto inny... Ja nie będę odpowiadał na „kim", choć to jest po polsku.

— Dobrze. Niech pan odpowiada na „kto", choć to nie po polsku — zgodził się chętnie Marcin.

— Ja kto inny dla siebie, a kto inny dla drugich.

— A cóż to znowu za relatywizm?

— Oni chcą, żebym ja był powstańcem. Ale jaki tam ze mnie powstaniec? Podporucznika mnie dali. Wstążeczek na płaszczu — patrz pan, ile...

— Płacą? — wtrącił rzeczowo Marcin.

— A jakże... To nie darmowa robota.

— A co panom daje za to?

— Ja mam dwa razy do roku pójść na defiladę. Niekiedy koło jakiego sztandaru postać...

— Postać — zaśmiał się Marcin.

— Wie pan, im trzeba bohaterów. Czytam teraz taką sztukę... Ciekawa sztuka: „Żeglarz"

— Pływak znaczy, bo ja znam „Ptaka".

— Nie, to „Żeglarz". Uparli się, żeby z niego zrobić bohatera.

— I zrobili? — zaciekawił się młody rozmówca.

— On nie chciał, bo faktycznie z niego żaden bohater... Ale przemogli... I mnie tak samo przemogli... Ma się rozumieć, jego lepiej, bo z pomnikiem...

— Ho, ho, ho! A ciekawe, czy i panu kiedyś pomnik postawią?

— I co mnie po nim? Tamtemu postawili za życia! Wtedy pan sam rozumie jaki profit... 200 złotych nie wystarczy. Trzeba diety, delegacje, hotele — za każde ruszenie palcem, jak dla ministra... Inaczej pomnik nawala... — zaśmiał się aż do kaszlu.

— A niech pana... Nie myślałem, że człowiek w pańskim wieku może mieć tyle humoru... Ale teraz to już naprawdę o Nietzschem albo o niczym...

— Słucham, słucham. To moje główne przeznaczenie — starowina powstrzymał porywy wesołości, który go naszedł przy perypetiach pomnikowych.

— Pan wie — zaczął Marcin, — ja jestem tak nim zachwycony, że nawet listy piszę teraz na wzór Nitzschego.

— Ooo!

Marian Nyczka — Kobieta z sową — 1963 r.

— U niego, to pan wie, na jednej stronie u góry jest podmiot, na drugiej u dołu — orzeczenie, a reszta to zdania podrzędne. Dwadzieścia, trzydzieści zdań, rozmaicie pozaczepianych za siebie. To ja tak samo teraz listy pisze. Wywalam jedno zdanie na cztery strony i basta. Obywam się w ogóle bez kropki...

— Jak to bez kropki? A na końcu?

— Na końcu idzie podpis... Któż stawia kropkę po podpisie?

— No tak, to racja... Przepraszam, że chcę pana łapać na nieścisłościach.

— Nie szkodzi... Przecież musi być wreszcie jakiś dialog...

— To racja... Aj, jaki pan jest kuty na cztery strony!

— I wie pan, co ciekawsze — ja mówię o listach — przypomniał Marcin. — Otóż te listy mają diabelne powodzenie... Kobiety za takimi dziwolągami przepadają. Widocznie wariaci mają na tym świecie lepsze szanse niż to się zdaje zdrowym na umyśle.

— Może to i prawda — przyznał szybko sinobiały staruszek. — Ale ten Nitzsche, o nim zdaje się mówimy?

— Tak.

— To filozof całą gębą. Jak Hegel. Co prawda, obaj nie grzeszą skromnością. On mówi, że gdyby jego zabrakło, to koniec z ziemią. On ją trzyma w ryzach, rozumie pan? Inaczej byłby tylko chaos, melanż — pokręcił końcem laski wśród liści.

— Że filozof, to ja wiem dobrze... U niego myśli inaczej się rodzą niż u innych, u pana na przykład, czy nawet u mnie... On ma myśli samoistne, immanentne...

— A co to znaczy: immanentne?

— To takie, co biorą się same z siebie... I tym zabił mi takiego klina w głowę, że chodzę jak głupi — w oczach Marcina odbiła się troska. — Też bym chciał żeby się we mnie znalazła jakaś myśl immanentna... A tu nic...

— I u mnie nic.

— No, co pan znowu? Pan może mieć tylko myśli reakcyjne...

— Jak to reakcyjne? Ja jestem postępowiec! — zaperzył się starowina. — Co pan sobie myśli?

— Przepraszam pana bardzo, ale to nie ma nic wspólnego z poglądami — uspokoił Marcin. — Reakcyjne, to znaczy wywołane jakąś podnietą, wrażeniem wie pan... Powiedzmy nawet: spostrzeżeniem, czy coś takiego...

— No tak... To tak jest ze mną — wyznał ze skrucha stary. — Nawet gdy mi się śni, to dobrze się zastanowić — i jużeś coś takiego gdzieś widział...

— A ja jestem w rozpaczy. U mnie, jak pan nie włoży do głowy — zwierzył się Marcin. — to nie ma co z niej wyjmować... Zdechł pies!

— Czy pan nie ma większych zmartwień? — zaśmiał się wreszcie stary.

— I to racja... Ale to takie zmartwienie filozoficzne...

— Słyszał pan o bandytach? — wziął nagły zakręt powstaniec.

— Nawet widziałem.

— Ja nie o takich myślę... Zna pan Bartla?

— Premiera?

Kiwnął głową.

— Otóż ktoś wypisał artykuł... w gazecie... I włożył w jego usta słowa, których premier nigdy nie użył. I wie pan, w jaki sposób zareagował premier?

— Pozwał do sądu?

— Nie, panie. Napisał artykuł, w którym dziennikarza nazwał bandytą prasowym.

— To bardzo silnie ale trafnie — zgodził się Marcin.

— Jeszcze trafniej można by to zastosować do Nietzschego. To bandyta w zakresie filozofii... Rozumie pan? I nic więcej nie czytam i nie chcę na ten temat nawet gadać...

Rozezłościł się stary, ale to dobrze zrobiło Marcinowi, bo spostrzegł się, że przecież idzie na lekcję i jest grubo spóźniony.

— Ach, ja tu gadam — zerwał się na nogi, — a tam mój jołopina czeka.

— Jaki jołopina?

— Synek komornika.

— Orkana?

— Nie. Komornika sądowego.

— Dobrze, że pan się spostrzegł z tym spóźnieniem.

— Nie rozumiem — przyznał się Marcin.

— W ten sposób naprawia pan błąd.

— Ale konsekwencje zostają, zostają, mój panie. Już tego kwadransa nigdy nie dogonię. Tak mówi Nietzsche, ale i ja sam wiem o tym...

Marcin chce się żegnać, a dziadek na to:

— A kiedy się spotkamy?

— Ja nie wiem.

— Będę tu czekał, choćby trzy lata.

Marcin zastanowił się chwileczkę.

— Niech pan czeka choć cztery, dobrze? Wtedy się może spotkamy...

— Na pewno?

— Na pewno.

Jakoś w środku zimy. Marcin natknął się nos w nos na Hanusza. Niemiły mu był ten człowiek, lecz nie było rady, musiał zatrzymać się na ulicy, tym bardziej że Hanusz wyraźnie sobie życzył spotkania.

— Co słychać? — zawołał jowialnie.

— Wszystko w porządku.

— Panie Sobczyński, chcę panu coś powiedzieć.

— Słucham pana — Marcin zgiął się w ukłonie, gdyż z Hanuszem nie było żartów.

— Chcę panu poradzić jak przyjaciel.

— Proszę, niech pan radzi — zgodził się skwapliwie.

— Nie wdawaj się pan z obcymi ludźmi!

Marcin zatrzepotał powiekami. Nic nie rozumiał.

— Z jakimi ludźmi?

— No, no... Nie udawaj pan! — Hanusz pogroził krótką, masywną ręką.

— Nie, doprawdy nie wiem, o co panu chodzi.

— A te mądre rozmowy, co? O bibliotece policyjnej, ha?

— Jakiż to może mieć związek? — Marcin zdumiewał się coraz więcej.

— Ma, ma... Niech się pan nie boi!

— Ależ to wasz człowiek — wykrzyknął absurdalnością całej sprawy.

— Nasz, ale panu nic do tego!

— Ja myślałem...

— Niech pan myśli gdzie indziej.

Marcin zamilkł zbity z pantałyku.

— No, sądzę, że zrozumieliśmy się — Hanusz wyciągnął rękę. Ogłupiały chłopiec podał machinalnie swoją, nic nie rozumiejąc.

— O Boże! — szepnął, gdy się rozstali. — Jak to im wszystko przeszkadza? Człowiek ruszyć się nie może, żeby go czyjeś oko nie śledziło.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

* * *

Po kosmosie wędrują i błądzą po jakichś planetach bez celu
Te planety ich przemieniają w słoneczne — wysokie promienie

I zadrgało wzruszeniem wnętrze drzewa, bo oto deszcz opadł szerokim skrzydłem. Słyszę go gdy nadciąga wąwozami ziemi w stosie sukien rozsypanych ziaren. Ponieważ wysokość jezior i mórz nie jest szczerością strachu, wysokość jezior i mórz nie jest objawieniem nagłym. Oto wody mych ojców — spraw nie napisanych na nich wiele na mnie tu czeka. Po dolinach błądzę i chodzę mi nieznanymi nizinami. Te niziny mnie przemieniają w rozległą — płytką rzekę. Wysokość jezior i mórz nie opada, niepamięć wpływa do źrenic.

* * *

Otworzyłem okno do ogrodu, żeby usłyszeć szczekanie
Bo w moim pokoju słychać wszystko prócz szczekania

Tak dużo szczeka psów, tak dużo śpiewa aniołów
Unosi się tysiące instrumentów z moich ściśniętych palców

Szczekanie to jest pies maleńki
Szczekanie to karłowaty anioł

Szczekanie to są niewielkie deszcze
Kiedy dreszcz zawodu wstrząsa drzewami, one odżegnują się— wtedy od wszelkiego szczekania.

JAN KOPROWSKI

MAX FRISCH o POLSCE

Z podróży zagranicznej przywiozłem sobie opasły tom „Dziennika" Maxa Frischa, autora sztuk i powieści w Polsce granych i publikowanych. „Dziennik", spisywany w czasie pobytu w wielu europejskich miastach, obejmuje lata 1946–1949. Max Frisch jest wybitnym pisarzem i jego uwagi o krajach i ludziach czyta się z ogromnym zaciekawieniem. Ma on wiele do powiedzenia o świecie, a ponieważ mówi o świecie powojennym — wędrujemy razem z nim z kraju do kraju i z miasta do miasta, ciekawi, co się tam dzieje, jakie emocje i problemy poruszają serca i umysły ludzkie.

Max Frisch był również w Polsce i ta część jego „Dziennika" interesuje mnie najbardziej. To zrozumiałe. Przyjechał on ze Szwajcarii do Wrocławia, aby wziąć udział w Kongresie Intelektualistów, w którym uczestniczyło wiele znakomitości, m. in. Picasso, Paul Eluard, Julian Huxley, Ilja Erenburg, Anna Seghers. Świadectwo cudzoziemca o nieswoim kraju jest zawsze interesujące, niezależnie od tego, czy jego spostrzeżenia i opinie odpowiadają wyobrażeniom nas samych o sobie samych. Czytamy je z niesłabnącą uwagą i jeśli nam odpowiadają — przyjmujemy je, a jeśli nie — odrzucamy. Odrzucamy albo nie. Max Frisch przyjechał do Wrocławia w nocy 24 sierpnia 1948 roku. W dwa dni później zanotuje w swoim dzienniku: „Kongres zezwala każdemu na dziesięciominutowe przemówienie. Erenburg mówi dwadzieścia minut, aż Julian Huxley, który dziś zebraniu przewodniczy, przypomina mu o powziętej uchwale. Gorące brawa dla Erenburga — niech mówi dalej. Po trzydziestu minutach podnosi się jeden z Amerykanów; chce wiedzieć, dlaczego Erenburgowi przysługuje inne prawo, niż pozostałym. Gorące brawa dla Erenburga — niech mówi dalej. Wreszcie Erenburg kończy po czterdziestu minutach. Wytrawny mówca, Danton, przemawia żywo i agresywnie, ironicznie. Nie ironicznie brzmi zadane przez niego pytanie: „Czy możecie sobie wyobrazić zachodnioeuropejską muzykę bez Rosji? Ja mogę.".

Nie tylko Erenburg jest ironiczny. Ironiczny w swych zapiskach bywa również Frisch. Ironiczny i dowcipny. Chodzi po Wrocławiu, rozmawia z ludźmi, ogląda Wystawę Ziem Odzyskanych, podziwia żywotność i humor Polaków. Jako architekt z zawodu (wówczas jeszcze w tym zawodzie pracował), zwraca uwagę na to, co zbudowano i zastanawia się, jak z tego morza gruzów wyprowadzić do życia nowe miasto. W pewnym miejscu zauważa gorzko: „Tragedią Polaków jest ich geografia".

Jeszcze przed zakończeniem kongresu wrocławskiego jedzie na kilka dni do Warszawy. Notuje: „Przeloty samolotem są tu tanie. Za trzydzieści franków do Warszawy. Gościnność, której zaznawałem dotychczas, nie zmienia się, trwa dalej". Frisch chodzi dużo po mieście, nad Wisłą, początkowo nie może wyzwolić się spod wrażenia ogromu widzianych zniszczeń. 30 sierpnia zapisze w dzienniku: „Wrażenie straszliwych zniszczeń, których widok określał mój nastrój w czasie pierwszych dwu dni pobytu, coraz bardziej maleje. Przy wspaniałej kawie, którą właśnie piję, czuję, że można tu żyć i można pracować. Ludzie nie wydają mi się wcale, jak podczas pierwszego szoku, naznaczeni piętnem przekleństwa. Przeciwnie: ich twarze są wesołe i ruchliwe, o wiele weselsze, niż w moim ojczystym mieście. Dawne ulice wydają się żywe i barwne, chociaż domy, które tu stały, nieistnieją, w ogóle ich nie ma, a jeśli — to są to tylko jakieś straszliwe ruiny. Ale to, co wznosi się na wysokości naszego spojrzenia, nie wydaje się dla naszych wrażeń decydujące. Widzimy wystawy sklepowe, ruchliwą ciżbę ludzką, tramwaje, stoiska pełne kwiatów i owoców. Lecz nade wszystko: na każdym kroku widać gigantyczną pracę, uprzątnięte zwały gruzu, powietrze pełne pokrzykiwań robotników i pełne kurzu, pełne także przeczuć dni przyszłych, skoro przeszłość stała się wreszcie przeszłością". Jego przewodniczką po Warszawie i tłumaczką była młoda Polka, Wiśka. Frisch pisze o niej z podziwem i uznaniem, zwłaszcza, że często wdaje się ona z nim w polemikę i bynajmniej nie podziela wszystkich jego poglądów. Wiśka wierzy w przyszłość i nie znosi jego nieco cierpkiego sceptycyzmu. Nie pada przed nim plackiem jako zagranicznikiem. Jest dumna ze swej pracy i swego kraju. Ostatni wieczór spędzają oboje w jakimś lokalu. Frisch zapisuje: „Tańczą pary, wesołe, między jednym tańcem a drugim jedzą ryby, chleb z masłem, ogórki, piją wódkę. Polacy i Polki mają w sobie coś porywającego. Nieopisanie piękny jest mazur, który tańczy jakaś para. Dziewczyna z rozsypanymi włosami, szczęśliwa, urodowana, dziecinna. Wyczuwa się jakąś siłę; nie przytłumioną, lecz młodą, bezpośrednią i niewątpliwą radość życia, radość tańca, radość jedzenia, radość rozmowy i zabawy. I nie tylko w czas odświętny. Również w dzień zwykły panuje na ulicach wesołość większa niż u nas, żywsza, bardziej spontaniczna i milsza".

Po powrocie do Szwajcarii Frisch jakby „podsumował" swoje wrażenia z Polski. W podsumowaniu tym napisał między innymi: „Planowe wyniszczenia, które już w Polsce, gdzie słowiańskość spokrewniła się wyraźnie z Zachodem, przybrały charakter regularnego przemysłu, aby dalej na Wschodzie stać się czynić jeszcze groźniejszym — okazały się katastrofalną hipoteką nie tylko dla samych Niemiec, lecz i dla całej Europy".

EDWARD MARTUSZEWSKI

WSPOMNIENIE MAZURSKIEJ ŁODZIANKI

Określenie zawarte w tym tytule nie jest zbyt precyzyjne, ale z redaktorskiego punktu widzenia konieczne — bo krótkie. Emilia Sukertowa-Biedrawina jest łodzianką, gdyż przed wieloma laty — ponieważ sama daty urodzin nie podaje, więc i my ją pomińmy — urodziła się w Łodzi. Mieszkała potem wprawdzie w Warszawie, wyszła za mąż (po raz drugi) za Cieszyniaka, ale — choć osiadła po wojnie w warmińskim Olsztynie — najściślej swoje długie życie związała z Mazurami: jako przedwojenna redaktorka „Kalendarza" i „Gazety Mazurskiej" oraz współzałożycielka Muzeum Mazurskiego w Działdowie, jako powojenna kierowniczka Instytutu Mazurskiego w Olsztynie i redaktorka „Komunikatów mazursko-warmińskich", wreszcie jako autorka licznych prac z dziedziny historii, regionu mazurskiego.

Słusznie pisze prof. Stanisław Herbst we wstępie do wydanych ostatnio wspomnień tej „mazurskiej łodzianki".

„Jak to często bywa, i te wspomnienia mają perspektywę odwróconą: najostrzej wyrysowały się na kliszach pamięci lata najmłodsze (a więc łódzkie i warszawskie — przyp. E. M.). Dzieciństwa dziecka ze znanej rodziny przemysłowców, w szkole rosyjskiej — anuchtinowskiej w Łodzi, a następnie w Warszawie. Świetnie oddana atmosfera ideałów pozytywistycznych pracy oświatowej i samokształceniowej, początki krajoznawstwa i próby literackie, a także szczególny kompleks narodowy Polaka pochodzenia niemieckiego. Potrzeby narodowe coraz bardziej pochłaniają „pannę z dobrego domu", wraca do nich potem już „pani domu" i matka. (...) Plebiscyt na Mazurach w 1920 roku otwiera pole działania, któremu pozostanie odtąd wierna i któremu poświęci się bez reszty".

Są więc wspomnienia Emilii Sukertowej (de domo Gundelach, secundo voto Biedrawiny) jeszcze jednym przyczynkiem do powiązań międzyregionalnych, dla których punktem wyjścia — obok patriotyzmu — była wspólnota religijna. Młoda żona Stanisława Sukerta była bowiem — podobnie jak Mazurzy działdowscy, podobnie jak pochodzący z Cieszyna nauczyciele działdowskiego seminarium nauczycielskiego — ewangeliczką. I z tej racji — działaczką Zrzeszenia Plebiscytowego Ewangelików Polaków.

Dla łodzian wspomnienia jej są również ciekawe ze względu na rozdział „Bohater z Tannenbergu", gdzie opisane zostały tragiczne losy Artura Deutschera, syna kolonisty niemieckiego spod Zgierza, który przed pierwszą wojną światową osiedlił się pod Stębarkiem (Tannenbergiem), na historycznych polach bitwy grunwaldzkiej, a w okresie plebiscytu działał po stronie polskiej, za włączeniem Mazur do Polski...

Książka „Dawno a niedawno" przypomina nie tylko sprawę Artura Deutschera. Stanie się ona niewątpliwie dla historyków wartościowym źródłem czy też choćby ową przysłowiową nitką wiodącą do kłębka. Tak zwany „przeciętny czytelnik" weźmie ją jednak do ręki również z dużym zainteresowaniem, zwłaszcza, jeśli interesują go sprawy mazurskie w ostatnim półwieczu. Ujrzy je przez pryzmat subiektywnych odczuć i poglądów osoby, która z całą pasją walczyła o realizację swych wielostronnych, ambitnych zamierzeń i która w Polsce Ludowej — choć w swoim czasie zastanawiano się nad niektórymi szczegółami jej ankiety personalnej — znalazła szerokie pole dla pożytecznego działania w dziedzinie popularyzatorskiej i naukowej.

*) Emilia Sukertowa-Biedrawina „Dawno a niedawno. Wspomnienia", Pojezierze, Olsztyn, 1965, str. 333, cena 42 zł.

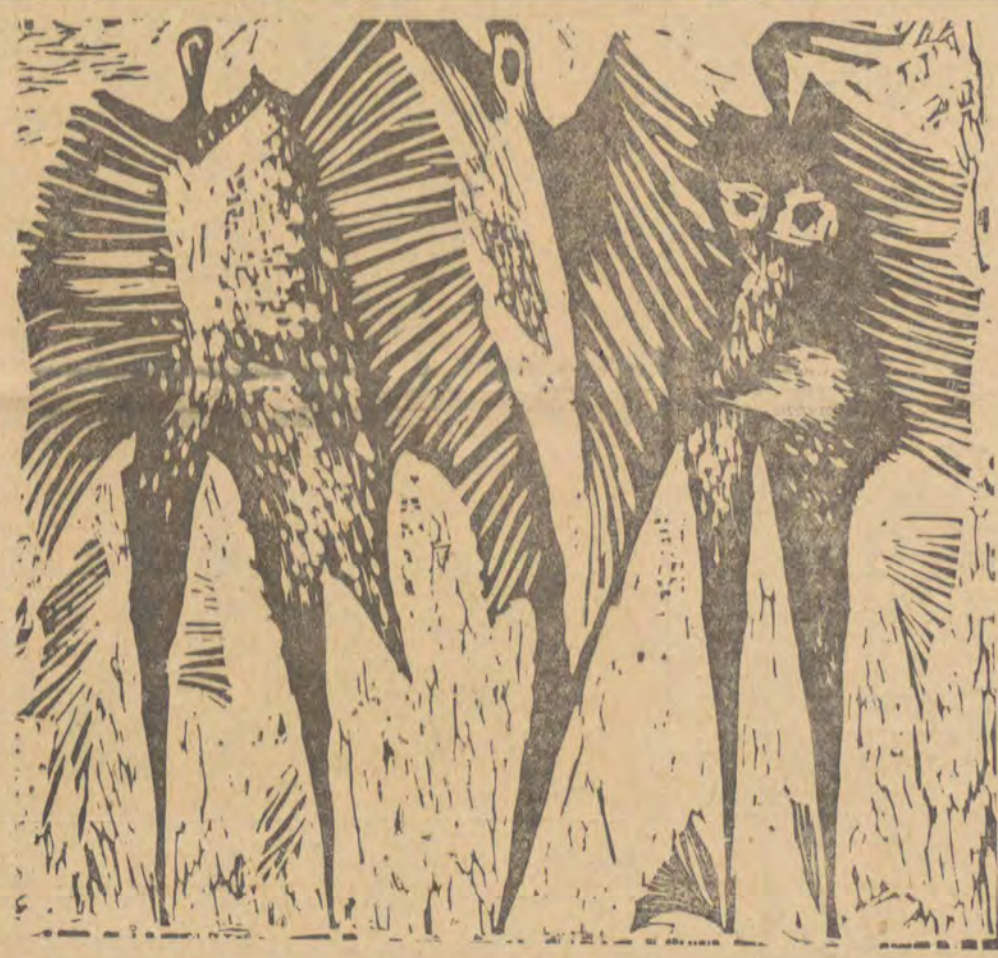

Jerzy Cichecki — Grafika

Książki nadesłane

Waldemar Babinicz — O BABKACH, NUGATACH I DZIWNEJ ANTYFONIE, Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 17.

Konrad Frejdlich — MIARY, Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 10.

Leon Gomolicki — OWOC Z GRYNSZPANEM, Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 10.

Jerzy Waleńczyk — BIAŁY TELEFON, Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 5.

Szkatułka Grupy Ponidzie 1965, Wydawnictwo Łódzkie, cena zł 30.

Jan Kulka — „NIEDALEKO TWIERDZY" — Zakł. Narod. im. Ossolińskich.

Zygmunt Krasiński — „NIEBOSKA KOMEDIA" — Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

PÓŁKA z książkami

PIERWSZE, GORĄCE DNI...

Nakładem „Iskier" ukazała się pozycja, stanowiąca próbę obrachunku z czasem, kiedy na terenach świeżo opuszczonych przez okupanta formowała się władza ludowa. Kto czytał „Łuny w Bieszczadach" — Gerharda, bądź Machejka „Rano przeszedł huragan" znajdzie w „Porze powrotów" podobną, gorącą atmosferę tamtych dni, niczym nie osłabioną przez literacką fikcję imion i nazw. Wróblewski próbuje szukać odpowiedzi na wiele pytań dręczących niejednokrotnie tych, co własnymi rękoma; częściej uzbrojonymi w pistolet, niż w pióro, usiłowali formować kształt nowej, ludowej rzeczywistości w niewielkiej, podgórskiej osadzie, Grodziszczu. Można by zarzucać autorowi „Trudnych dni", że bohaterom swym, skądinąd ciekawym i żywym zbyt często zostawia czas na dociekania, na poszukiwania „prawdy" tamtych dni, ale kto wie, czy te poszukiwania nie są mu potrzebne choćby po to, by mógł w ich imieniu jeszcze raz powtórzyć za Apollinaire'm: „Bądźcie wyrozumiali, kiedy nas porównujecie z tymi, co byli doskonałością porządku". Na pewno nie był „doskonałością porządku", ani porucznik Borys Szaniawski, ani kapitan „Garbaty" — Skórzewski, ani wielu im podobnych ludzi, którzy najsprawiedliwiej brali w swe ręce władzę, gdy przyszła pora powrotu.

Z. C.

Zdzisław Wróblewski — „Pora powrotów", Państwowe Wydawnictwo „Iskry" — 1965 r. Cena zł 10.

MISJONARZE W JESIONKACH

... to ludzie, którzy działają, którzy w sposób bezinteresowny, a z pasją i najgłębszym przekonaniem oddają się swoim „czynom społecznym", obojętnie o jakim zasięgu, ogólnym, czy choćby rodzinnym. Bohaterami zbioru reportaży Aleksandra Ziemnego są kuratorzy społeczni młodzieży przestępczej, dyrektorzy liceów, które narodziły się z niczego, i twórcy ośrodków oddziaływania kulturalnego o takimże samym rodowodzie, młodzi architekci, projektujący nowe modele osiedli i domów kultury, matki umiejące wychowywać swe dzieci, budowniczowie dróg i melioranci bagien, młodzi prowincjonalni literaci i znakomici bibliofile. Bohaterów jest wielu i nie wszystkich tu wymieniono. Na podstawie wycinków ich biografii i otaczającego ich zła, autor stara się o ukazanie przejawów współczesnego życia w Polsce. Czasem dotyka problemów bolesnych (domy starców, „konflikt pokoleń na płaszczyźnie rynku pracy, kolonia na Opaczu), czasem cieszy ukazaną sylwetką (np. „Dalekie światło", „Matka Papierzów"), a zawsze jest pełen publicystycznej pasji. I potrafi być szczery. Brak fikcji literackiej stanowi podstawowy walor specyficznego gatunku tej książki, która, rozbita na okruchy, zdąża do scalenia się w pewien obraz. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że tematycznie (choć nie literacko) ciekawsze są reportaże ujęte w części I całości.

(K. W.)

Aleksander Ziemny: „Misjonarze w jesionkach", Iskry, Warszawa, 1965. Cena zł 11.

SPADKOBIERCA

„Coś miejskiego zetknęło się z czymś wiejskim. Są to jakby dwa przeciwne światy, a wiadomo, że wszystko, co przeciwne, zmierza do zderzenia. Ten Marcin, przebywając w mieście, zrzekł się swego dawnego świata (posiadał go w dalszym ciągu, przynajmniej w połowie, a więc miał w sobie dwa przeciwstawne światy), swej rodzinnej wsi i zręcznie i gładko przysposobił się do świata nowego: do miasta. Od tej chwili zaczęło mu grozić niebezpieczeństwo zderzenia". Wyręczając się słowami autora, tak oto można przedstawić zasadniczy problem i tematykę książki Mirosława Dryńskiego. Owo podwójne „zderzenie" środowisk oraz w psychice bohatera, warszawskiego adwokata, zostało ukazane w sposób oryginalny, przemyślany, choć może nadto dramatyczny w stosunku do rzeczywistości (morderstwo). Masowe przejścia ze wsi do miast nie wywołują na ogół tak bolesnych konsekwencji, choć niewątpliwie problem dwóch światów istnieje, a jego podstawowy konflikt tkwi korzeniami w chłopskiej psychice. Mirosław Dryński ujął go w słowa pozornie proste i chropawe, chwilami jednak, w monologach chłopa Grzegorza, odstępując od tego kanonu, co stanowi pewien zgrzyt stylistyczno-psychologiczny, prawdopodobnie świadomy. Język, sposób nawarstwiania akcji, psychologiczne „rozgryzanie" postaci z tendencją do naturalizmu oraz atmosfera mająca coś z Faulknerowskiego „zaścianka", składają się na interesujący debiut powieściowy młodego autora.

(K. W.)

Mirosław Dryński: „Spadkobierca", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1965. Cena zł 12.

LEOPOLD BECK

Nowy sezon operetkowy w Łodzi: JESZCZE PIĘKNIEJSZA HELENA...

Pewien uczony mąż, którego hobby była „offenbachologia", obliczył w 1938 r., że do tego czasu „Piękna Helena" dobiła w niemieckim kręgu kulturowym do czterotysięcznego przedstawienia, a w ogóle do trzydziestotysięcznego. Homerowska Helena ma dzisiaj mniej więcej dwa tysiące osiemset lat, offenbachowska sto dwa. Ale to tylko według metryki: prapremiera odbyła się 17. 12. 1864 r.

W rzeczywistości „Piękna Helena" jest wiecznie młoda.

Jakim cudem? Cudem offenbachowskiej muzyki, która jest, jak powiada jeden z wielkich znawców, genialnie bezczelna i tak inteligentnie złośliwa w parodiowaniu operowego oraz fałszywego społecznego patosu, że wydaje się być w ogóle jedynie możliwym akompaniamentem do dziejów drugiego cesarstwa. Błyskotliwa partytura, powiadają, o piorunującej sugestywności. Jak to dobrze, jeśli można powoływać się na autorytety, kiedy się samemu już dawno doszło do przekonania, że Offenbach jest największym satyrykiem ostatnich stu lat.

A Henri Meilhac i Ludovic Halévy, autorzy tekstu do „Pięknej Heleny"? Halévy został bądź co bądź za swoje dzieła literackie przyjęty do grona „nieśmiertelnych", do Akademii Francuskiej.

Nie ma wątpliwości, że libretto Meilhaca i Halévy'ego w doskonały sposób „przylega" do muzyki Offenbacha. Ale właśnie Offenbach jest duchowym ojcem całości i co najmniej współtwórcą wszystkich detalów libretta. To on wskazał na Iliadę i na Helenę jako na temat do libretta — nie w sensie parodii starożytności, lecz jako na możliwość odbicia bulwarowo-klikowej rzeczywistości drugiego cesarstwa we wspomnianym starym zwierciadle.

O tej jego roli inspiratora i nauczyciela librecistów świadczy m.in. korespondencja, którą z nimi prowadził. W jednych z takich listów czytamy: „Mówisz o drugim akcie „Pięknej Heleny". Jest to mój najlepszy akt, ponieważ wszystkie numery (muzyczne) wypływają z sytuacji... Żądam od Ciebie nie ilości, lecz jakości. Muzyka nie wypływająca z sytuacji (scenicznej) staje się absurdalna i nudna dla publiczności. Nie chcę kupletów przekształcać w muzykę, lecz — sytuacje..."

Offenbach pokładał wielkie nadzieje w nowej operetce. Był przekonany, że osiągnie ona jeszcze większy sukces niż „Orfeusz w piekle". W pierwszej wersji nowa operetka nazywała się „La Prise de Troie" — „Zdobycie Troi", a jedną z postaci był sam Homer... jako sprawozdawca wojenny.

Kronikarz opowiada, że Offenbach udzielał swoim librecistom raz po raz dokładnych wskazówek w sprawie dramaturgii, tekstu i postaci w każdej kolejnej wersji — aż powstało nowe arcydzieło operetkowe. Offenbach miał pełne prawo do pouczania swoich librecistów. Posiadał przecież olbrzymie doświadczenie — jako kapelmistrz teatralny, no i jako właściciel, dyrektor, kierownik artystyczny, inscenizator, autor i kompozytor teatrzyku „Bombonierka", zwanego „Bouffes parisiens", gdzie wystawiał jednoaktówki i skecze muzyczne, zdobywając nie tylko paryską, ale i europejską publiczność. Każdy, kto odwiedzał Paryż, bił się o bilety do teatru Offenbacha.

Głównym tematem śpiewo-gier Offenbacha było „oblicze panującej klasy", czyli Paryża bulwarów i dworu. Nawiasem mówiąc, koncesja, którą posiadał Offenbach, opiewała na wystawianie sztuk z obsadą do trzech osób. Przyjaciel Offenbacha Florimond Hervé — który prowadził podobny teatrzyk, posiadał pozwolenie na wystawianie sztuk z obsadą tylko dwóch osób. Ponieważ jednak trupów scenicznych nie zaliczano do osób w sensie koncesji, to u Florimonda Hervé leżące plackiem na deskach trupy — śpiewały.

Takich tricków nauczył się Offenbach od swojego przyjaciela i rozbudował ten system do perfekcji.

Dlaczego o tym wspominamy? Nie gwoli opowiadania interesującej anegdoty, lecz by pokazać, jak bogate było doświadczenie teatralne Offenbacha, które go uprawniało do roli nauczyciela swoich librecistów i do tego, by decydować o całości i detalach libretta. Tak się również działo z „Piękną Heleną", która, nim została wystawiona, istniała w pięciu wersjach librettowych. Stąd wniosek, że historia przeróbek „Pięknej Heleny" rozpoczęła się wraz z zakończeniem jej pierwszej wersji.

Tych rozmaitych wersji na podstawie libretta Meilhaca i Halévy'ego jest niezliczona ilość. Zostały one opracowane przez adaptatorów we wszystkich krajach Europy. Istnieje nawet teoria, dlaczego takie przeróbki i adaptacje są potrzebne. (Nie mówimy tutaj o komercyjnych tłumaczeniach obcojęzycznych librett, np. z polskiego na polski, lecz o takich pracach, które odpowiadają rzeczywistej potrzebie). Przy niezmiennym charakterze offenbachowskiej satyry, skierowane w formie chronique scandaleuse przeciwko politycznym, komercyjnym i, jeśli tak powiedzieć wolno, erotycznym oszustom — przedstawiciele tych sfer działają w maskach homerowskich postaci, ale, w zależności od czasu wystawienia „Pięknej Heleny", w coraz innych warunkach. Z tego wniosek, że pozostawiając schemat „Pięknej Heleny" nienaruszony, trzeba postacie umiejscowić w każdorazowej współczesności, choć homerowskie maski pozostają.

Takiej oto potrzebie czyni zadość libretto Minkiewicza. Różni się ono od starszych przeróbek również i tym, że członkowie kliki, czy gangu i ich boginie mówią o naszych dzisiejszych sprawach i aferach... wierszem.

KRONIKA

Anty telewizyjna

KOLIZJE

Zlekceważywszy kolejność, zacznę od zrzędzenia. Naszym językiem od dawna zbyt lekkomyślnie się posługujemy, ale żeby tę sytuację skutecznie pogarszała również i telewizja — to budzi protest zwłaszcza, iż usłyszeliśmy, że wkrótce rodzina telewidzów będzie, być może, liczyć aż 10.000.000 osób.

We wtorek ub. tygodnia Wrocław nadał audycję „Nie ma nas w domu", rozmowy z właścicielami ogródków działkowych. Temat wielce sympatyczny, niestety, miły człowiek z mikrofonem w ręku, przeprowadzający rozmowy, zdumiewał nieudolnością zwyczajnego posługiwania się polszczyzną w wypadku przecież zupełnie prostym, bowiem ogródki to warzywa, kwiaty, owoce. Ten młody człowiek mówił tymczasem o przedłużaniu odcinków socjalnych, o drzewach w ogródkach: wiele akcentów wysokościowych w postaci drzew; opisując stół z płodami z grządek, mówił: stół, na którym leżą efekty pracy, chwaląc warzywa, użył zwrotu: różnorodny wachlarz zainteresowań... Swoisty barok języka biurokracji i złego dziennikarstwa.

Transmisję zakończono „Dziewczyną w ogórkach" z „Pana Tadeusza". Chwytaliśmy się za głowy: panna Zosia, pan Maliniak i ja. Na oczy królowej angielskiej, przecież red. Ryszard Sadowski nie od razu porozumiałby się z Mickiewiczem! Niedowład językowy, proszę państwa. Niedowład u tych, co o drzewie powiedzą: specyficzny akcent wysokościowy w pejzażu...

Obejrzałem trzy polskie krótkometrażówki. Reż. Karabasz zajął się dziewczętami po maturze. „Na progu" nie dało jednak nic ponad naszą potoczną wiedzę, zobaczyliśmy zato wiele miłych buź względnie buzi. I jedno przyjemnie uderzyło: wbrew szkole, która maturzystom podsuwała tematy z polskiego historii, pozwalające na nizanie frazesów, wypowiedzi dziewcząt nie przypominały ulizanych wypracowań.

Ile może dać sama rejestracja twarzy, o tym przekonał nas film Marzyńskiego „Licytacja". Ale najbardziej podobał mi się „Koncert wawelski". Okazuje się, że dziś można zrobić film bez komentarza, a przecież w pełni i łatwo docierający do widza. Inna rzecz, że chodziło o coś, co tkwi trwale w naszej świadomości, co spotyka się z przygotowaniem uczuciowym, o Wawel.

Istnieje opinia, że myślenie polityczne i ekonomiczne — nasza własna zresztą opinia — nie jest wybitną cechą Polaków. Żeby się dokształcić, skwapliwie prześledziłem dwie audycje: „Bank wodny" i „Kolizje". Obie były ciekawe z tym, że krakowskie rozważania o wodzie trochę zawiodły, trwały za krótko, chciałoby się, żeby poprzedzono je ogólnymi uwagami o deficycie wody, który jest zagadnieniem nie tylko naszym. Ale i tak wiele się dowiedziałem o zaporach i zbiornikach, o planach na przyszłość. To, iż zaledwie 36 proc. długości naszych rzek ma wodę czystą — na nowo obudziło złorzeczenia pod adresem dyrektorów przemysłu, pod adresem tych wszystkich, którzy zabiegają jedynie o efekty doraźne. Sytuacja nie skłania do optymizmu. Szanujmy wodę, ale myjmy się przytem starannie i jednak regularnie!

Aglomeracja i deglomeracja to pojęcia, które już się zadomowiły w naszych słownikowych zasobach. „Kolizje" były wyjątkowo interesujące. Nieco smętne wspomnienie: mój wileński znajomy, dr Stanisław Szanter, wydał przed wojną własnym nakładem broszurę wymierzoną przeciwko wielkim miastom. Gdzie? Właśnie w spokojnym i prowincjonalnym Wilnie. Wtedy wyglądało to na dziwactwo, a jednak!... Wszystko zmierza do egzystencji miejskiej, tendencja wymaga wielu przemyśleń i posunięć, poważnej i obliczonej na lata działalności. Sprzed wojny również pamiętam hasło: „Mieszkaj na wsi, pracuj w mieście"... Czy przyszłość będzie sprzyjała jego uwzględnieniu? Jako poeta, listę zarzutów dotyczących egzystencji miejskiej powiększyłbym o osłabianie życia uczuciowego ludzi. Inna sprawa, że można to podciągnąć pod uwagę o przewadze stosunków rzeczowych.

Dobrą znajomość literatury wykazali uczestnicy teleturnieju „Wielcy polscy pisarze", tylko prowadzącemu wytknąłbym, iż Lipce Reymontowskie nie leżą na trasie Warszawa—Żyrardów.

Muszę natomiast przyznać się, iż nie podoba mi się seria z inspektorem Maską. Czekam na sprzeciwy, ale wydaje mi się, że za świetną techniką kryje się niedowład pomysłów, nic w tych filmikach nie zaskakuje, nie ma w nich bardziej dramatycznej — w tej, oczywiście, konwencji — perypetii...

„Kobra" z Władysławem Krasnowieckim w dwóch rolach nieskomplikowana, ale za to jakaś konsekwentna i wiarogodna.

Bohaterem sztuki Osborne'a „Miłość i gniew" był gotowy od początku psychopata, nie budzący żadnej sympatii. Zresztą, w ogóle dziwiłem się

rozgłosowi tego utworu. Bohater „Garści piasku" Jerzego Przeździeckiego, sztuki przeniesionej z teatru w Częstochowie, jest osobnikiem o charakteropatologicznym zaburzeniu osobowości, jak to mówią psychiatrzy. Dobre przedstawienie, zajmująca sztuka, powiedziałbym, nie nadając temu ujemnego znaczenia, naturalistyczna. Przekonywująco przedstawiał się ów Geza Augusta Kowalczyka, Anka w interpretacji Barbary Bargiełowskiej. Burłak w wykonaniu Aleksandra Szmidta.

I mnie podobnie jak wielu uderza fakt, potwierdzany przez życie, iż literaccy bohaterzy z pokolenia powojennego, moralne ameby, nikomu nic nie dawszy, swoje krachy zwalają na świat, wymagając licho wie, czego. Burłak, mimo iż przeszedł Oświęcim, jest człowiekiem bez porównania odporniejszym i skromniejszym, choć wydawałoby się, że powinno być odwrotnie.

Jan Huszcza

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

ZYCIE jest silniejsze od nas, nie można ciągle stać na uboczu w roli biernego obserwatora — oto główna idea prezentowanego właśnie na naszych ekranach węgierskiego filmu „TAK". Skąd ten lapidarny, bardzo specyficzny tytuł? Ma on głębszy sens. „Tak" jest dramatem psychologicznym. Główny bohater — inżynier w średnim wieku przeżywa przełomowy okres swego życia. Musi podejmować ważne decyzje. Od jego tak lub nie zależy jego własna przyszłość i losy kobiety, z którą się związał. Momenty obierania jednej drogi życiowej, odrzucania innej, momenty aprobaty lub negacji są więc mocno wyakcentowane jako podstawa ludzkiej egzystencji. Nie chodzi tu o hamletowskie „być albo nie być", lecz o to jak być. Są w życiu chwile, kiedy musimy zdecydować się na powiedzenie sobie „tak" — mówi matka bohatera. Szkoda, że maksyma ta, jak również druga, przytoczona przeze mnie na początku, zostały wypowiedziane przez filmowych bohaterów. Twórcy mogli wykazać więcej zaufania dla widza, no i przede wszystkim klarowności samego filmu. Taka „łopatologia" razi w dziele zrywającym zdecydowanie z tradycyjną formą filmową. „Tak" nie ma ciągłej akcji. Składa się ze strzępów wspomnień głównego bohatera przywodzonych przez pamięć w dramatycznej chwili jego życia. Wspomnienia te przybierają formę bądź strumienia świadomości, bądź monologu wewnętrznego. Właściwie można by określić ten film jako połączenie przebudzenia psychicznego z rachunkiem sumienia. Owo eksponowanie ludzkiej psychiki sprawiło, że w filmie niesłychanie ważne stały się zbliżenia. „Tak" na nich się właściwie opiera. Pojawiają się one we wszystkich ważniejszych momentach akcji.

Film ten ma w sobie coś z „Hiroszimy, mojej miłości" i „Dziewięciu dni jednego roku". W sferze problematyki i w szacie formalnej. Naukowiec-cybernetyk rezygnuje ze swej pracy w imię — jak mu się wydaje — dobra ludzkości. Dręczyła go niepewność, czemu służyć mają jego wynalazki — może dziełu zniszczenia. Męczyły go wizje zniszczonej bombą atomową Hiroszimy. I jak w filmie Resnaisa o tym mieście, w „Tak" niezwykle ważny jest problem zapomnienia, sprawa miłości zniszczonej przez śmierć w czasie wojny ukochanej osoby. Tam był nią mężczyzna, tu — jest kobieta. Poprzez nowe wcielenie swojej miłości człowiek uwalnia się od przeszłości. Przemijanie...

Węgierski film „Tak" jest pozycją interesującą. Daleko mu jednakże do „Hiroszimy" zarówno w sferze wartości, jak i nowatorstwa formalnego.

MAFIA jest to tajna organizacja powstała na Sycylii z początkiem XIX wieku, początkowo polityczna — dla ochrony ludności, wobec słabości władz Królestwa Obojga Sycylii; po zjednoczeniu Włoch opanowana przez elementy przestępcze; rozbita przez rząd włoski w 1929 roku, odrodziła się w 1943 w związku z autonomicznymi dążeniami na Sycylii — takie objaśnienie znajdujemy w „Encyklopedii Powszechnej" pod hasłem „mafia".

Przytoczenie to było konieczne. Bez uświadomienia sobie tych danych trudno bowiem byłoby w pełni zrozumieć włoski film „CZŁOWIEK MAFII". Jest to dramat obyczajowy obnażający główne wady Sycylijczyków. Jeśli Włosi są rozkrzyczani i skłonni do afektacji, to Sycylijczycy celują w tym szczególnie. Scenariusz do filmu pisał Marco Ferreri. Wpływ jego na koncepcję dzieła jest wyraźnie widoczny. W „Człowieku mafii" pobrzmiewa często ton tak charakterystycznego ostrego szyderstwa, film ma charakter satyryczny. Bije przede wszystkim w straszliwe zacofanie Sycylii, w fanatyzm religijny, w skłonność Sycylijczyków do szowinizmu.

Współcześnie nazwy „mafia" używa się potocznie także dla określenia szajki, bandy. Nie bez przyczyny. Film ukazuje mafię właśnie w jej stadium rozkładowym, w okresie działalności przestępczej. Dzięki temu dzieło nabiera posmaku sensacyjnego. Precyzja, z jaką działa mafia jest imponująca, wszystko funkcjonuje w niej jak w zegarku. Granice państw i kontynentów nie są dla jej działalności żadną przeszkodą. Śledząc losy głównego bohatera — Sycylijczyka Nino można dopatrzeć się w jego historii głębszego sensu. Stanowi on przykład człowieka ogłupionego histerycznym wychowaniem, który w imię dawno umarłych idei, zamienionych już w puste, czcze frazesy zmuszony zostaje do zabicia człowieka w skrytobójczej walce. W ten sposób film nabiera tonu ostrzegawczego, uświadamia widzom, jak żerować można na ideologii, jak łatwo czasem zwieść w tej dziedzinie człowieka zwykłymi pozorami. Ta opowieść o wakacjach człowieka w rodzinnej wiosce na Sycylii tak niepodobnej pod każdym względem do Mediolanu, gdzie prowadzi od lat dostatnie, bardziej ucywilizowane życie, zabarwiona jest gorzkim trochę humorem.

„Człowiek mafii" jest udanym filmem, który z czystym sumieniem polecam Czytelnikom do obejrzenia.

MARIAREL

„DEMONY"

Arcydzieła literatury austriackiej docierają z opóźnieniem do świadomości narodów europejskich. Ani Hermann Broch, ani Robert Musil nie zdobyli sobie jeszcze w Europie należnego roz głosu. To samo można powiedzieć o wybitnym współczesnym żyjącym pisarzu austriackim Heimito von Dodererze, którym ostatnio zainteresowała się literacka prasa francuska. Jeden z tygodników opatrzył artykuł o tym najwybitniejszym pisarzu austriackim tytułem: „Nie Balzak ani Dostojewski, ale jednak — Doderer". Już samo po równanie z tytanami pisarstwa światowego jest wymowne. Inny tygodnik, komunistyczny „Le drapeau rouge" poświęca duży felieton głównemu dziełu Heimito von Doderera, powieści „Demony", która jest opusem liczącym 1200 stron. Powieść ta została przetłumaczona na francuski przez Roberta Rovini i ukaże się nakładem znanej paryskiej firmy wydawniczej „Editions Gallimard". Fabuła powieści sięga jeszcze czasów monarchii austriacko-węgierskiej i rozgrywa się „nad modrym Dunajem" w stolicy Austrii, Wiedniu, z jego Ringami, Praterem, Wiener-Walden, pałacami, kawiarniami, teatrami, jednym słowem — z całym jego urokiem.

FRANCUSKIE NAGRODY LITERACKIE

Czy wiecie, ile jest dorocznych nagród literackich we Francji. Dziesięć, moi Państwo! Pisze o tym w niezwykle interesującej książce „Paryskie ABC" August Grodzicki, znany i ceniony krytyk teatralny. Z tych dziesięciu nagród pięć — liczy się najbardziej w opinii czytelników, jak pisze Grodzicki. A oto one: Nagroda Akademii Goncourtów, przyznawana pisarzowi, który w minionym roku ogłosił najlepszą książkę z zakresu prozy. Wynosi ona pięć tysięcy starych franków. Suma ta ma już dziś znaczenie symboliczne, al„ nagrodzona książka zdobywa sobie poczytność i osiąga duże nakłady. Wśród laureatów znajdowali się wybitni i sławni pisarze, jak Barbusse, Duhamel, Proust, Malraux, Simone de Beauvoir, Vailland.

Drugą co do powagi i autorytetu jest Nagrodą Renaudot, który był pierwszym dziennikarzem francuskim, założycielem „Gazette de France" w roku 1631. Wśród nagrodzonych znaleźli się tacy pisarze, jak Marcel Aymé, Céline, Aragon, Peyrefitte.

Trzecią nagrodą jest Prix Femina, w jej jury zasiadają starsze panie. nagroda jest przyznawana nie tylko kobietom.

Czwartą nagrodą jest „Prix Interallié", której jury składa się z dziennikarzy, a nagrodzonym może być tylko dziennikarz zajmujący się jednocześnie powieściopisarstwem. Pierwszym laureatem był sławny pisarz André Malraux, który otrzymał nagrodę za powieść (przełożoną na język polski) „Droga królewska".

Piątą z tak zwanych „liczących się" jest nagroda „Nouvelle vague" (Nowa Fala) ufundowana przez tygodnik ‚Express". Nagroda jest przyznawana autorowi francuskiemu poniżej 35 lat, który w swym utworze wyraził idee i uczucia nurtujące jego pokolenie. Poza tymi pięcioma jest pięć nagród o mniejszym znaczeniu: „Médicis, „Del Duca", „Prix Rivarol" (dla pisarza niefrancuskiego piszącego w języku francuskim) oraz „Prix Richelieu" i „Prix Fénéon", które — jakkolwiek mają mniejsze znaczenie — jednak przyczyniają się do ożywienia francuskiego ruchu literackiego.

MAGIA NA PODDASZU

Długa, wąska sala, ledwie oświetlona przez przyćmione kolorowe światło, które wpada przez barwne szybki. Na końcu sali, w głębi gotyckie okno kościelne, witraż z wizerunkiem ukrzyżowania. Pierwsze wrażenie — że znajdujemy się w świątyni. Ale to nie świątynia, to poddasze w Strasburgu, na którym urządzono wystawę pod nazwą: „Tysiące lat malarstwa na szkle". Nie mniej zaskakujące niż wnętrze jest ugrupowanie eksponatów: Po lewej stronie — witraże od czasów Romantyzmu do czasów najnowszych, po drugiej — olbrzymi św. Krzysztof z XV wieku aż do wspaniałych witraży Chagala. Podstawą ekspozycji jest 160 witraży wypożyczonych z Niemiec, Belgii, Szwajcarii i Francji. Z Bazylei i Fryburga przysłano witraże sławnego Hansa Baldunga.

„Żywność dla partyzantów".
I. S. Copic (Jugosławia)

TWORZYĆ LUB UMRZEĆ

Ostatnio francuska prasa literacka poświęca dużo miejsca omówieniu nowej powieści Elzy Triolet „Grand Jamais". Szczególnie interesujące uwagi na temat tej powieści znajdujemy w sierpniowym numerze „Cahiers du communisme". Znany pisarz Jean Marcenac podkreśla obok mistrzostwa rzemiosła pisarskiego, właściwego Elzie Triolet, zdolność pisarki do uwydatnienia tego, co jest pomiędzy rzeczywistością a świadomością rzeczywistości, pomiędzy życiem a naszą świadomością życia. Co jednak najbardziej podziwia krytyk, to walkę Elzy Triolet z „nieprzezroczystością historii", jak on to nazywa, a o czym sama autorka pisze w następujący sposób: „Szamocę się jak mucha w szklance odwróconej do góry dnem. Widzę przez szkło, przez które nie mogę się przedostać na zewnątrz. Najprościej byłoby — ulec, poddać się i żyć według warunków, w jakich się znajduję. Ale widzę jednak, że coś istnieje poza szkłem, niedaleko, zgoda, wiem jednak, że coś istnieje na zewnątrz". Marcenac zwraca uwagę, że cała twórczość Elzy Triolet to wysiłek, żeby widzieć jasno, przejrzyście, klarownie. Równie ciekawie interpretuje Marcenac pojęcie sensu historii wynikające z pisarstwa Elzy Triolet, która nie godzi się na fascynujące skądinąd ujęcia Szekspira i Faulknera, że „życie to opowieść idioty, pełna wściekłości i hałasu, i która nic nie znaczy". Przeciwnie, Elza Triolet jest przeświadczona, że życie posiada sens, który możemy i powinniśmy zrozumieć.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

NIEPOROZUMIENIA Z BRECHTEM

Przy tłumaczeniu Brechta na inne języki nastręczają się szczególne trudności ze względu na ludowy charakter wielu jego sztuk. Przewidując to, Brecht w uwagach do „Pana Puntili i jego sługi" (z powodu szwajcarskiej prapremiery w 1948 roku) wypowiedział następujące uwagi: „Wydaje się beznadziejne wskrzeszenie dawnego gatunku sztuki ludowej... Niemniej, odczuwa się wyraźną potrzebę takiej sztuki... Z naturalistycznego punktu widzenia wiele sytuacji w „Panu Puntili" może się wydawać wulgarnymi... dlatego należy usiłować wystawiać „Pana Puntile" w sposób, który by uwydatnił zarówno elementy dawnej komedii dell'arte, jak też elementy sztuk obyczajowych. Niedawna londyńska prapremiera zrównała, niestety, „Pana Puntila" ze zwykłą tradycyjną, naturalistyczną komedią, która nie ma nic wspólnego ze współczesną teatralną sztuką ludową, jak ją rozumiał Brecht. Również Brechtowskie songi, które podkreślają ludowy charakter jego sztuk, zostały w londyńskim przedstawieniu zepchnięte na plan drugi: były one poskreślane lub deklamowane, a gdy je śpiewano, to śpiewano raczej gorzej niż dobrze. Co jednak jest interesujące, to że w ramach nieudanej inscenizacji można było zanotować osiągnięcia aktorskie. Przyczyniło się do tego bogactwo odmian języka angielskiego. Dzięki wielości dialektów aktorom udało się osiągnąć, tak, jak w „Pygmalionie" Shawa, zróżnicowanie językowe, charakterystyczne dla podziału klasowego. Szczególnie korzystnie wypadło to w interpretacji roli tytułowej przez Roy Dotrice, który ze swym północnoangielskim akcentem nowobogackiego obszarnika utrafił doskonale w styl Pana Puntili.

HIROSZIMA ZAPOMNIANA

Telewizja zachodnioniemiecka może się „poszczycić" osiągnięciem „pokojowym" mającym chyba na celu zatarcie wszelkich śladów drugiej wojny światowej. W dwadzieścia lat po zrzuceniu bomby atomowej na Hiroszimę i Nagasaki zachodnioniemieckie stacje telewizyjne nadały dwie audycje. Czy zawierały one obrazy katastrofy i zniszczenia? Bynajmniej! Ze zdumiewającą jednomyślnością i powściągliwością pokazały stacje telewizyjne obrazy z życia miast japońskich, Hiroszimy i Nagasaki, na długo przed lub długo po zrzuceniu bomby atomowej. Godziny X i śladów cierpień ludzkich fizycznych i psychicznych — gdyż kamienie i odbudowane domy mówić nie mogły — oszczędzono telewidzom!

A więc, Hiroszima z 1965 roku!! Spójrzcie, jak żyje, kwitnie i rozwija się! Jak gdyby na dowód, że wojna — nawet atomowa — oznacza intensywny rozwój dobrobytu i błogostanu?

PRZED ROKIEM

powstało w Salzburgu tzw. „Europa-Studio", które w czasie odbywającego się tam festiwalu teatralno-muzycznego, prezentuje współczesne sztuki współczesnych pisarzy cudzoziemskich. Podczas tegorocznego festiwalu pokazano w „Europa-Studio" następujące sztuki: „Ballada o Peckhamie Rye", napisana przez Muriela Sparka oraz „Księżyce i słońca" Robina Hawdona.

Krytyka zwraca uwagę przede wszystkim na „Balladę", która najpierw ukazała się jako powieść, a następnie jako słuchowisko radiowe, odznaczone nagrodą Prix Italia. W Salzburgu przerobiono ją z kolei na musical. Ale co jest charakterystyczne, że reżyserię powierzono Janowi Biczyckiemu, a scenografię i kostiumy Ewie i Franciszkowi Starowieyskim.

Tak więc polski reżyser i scenografowie pracowali z salzburskimi aktorami nad sztuką, napisaną przez Anglika, a wystawiona w języku niemieckim. Jednakże do wykonawcy roli głównej, Heinza Reinecke, krytyka odniosła się niechętnie. Uznano, że była to obsada nie trafna, która zaszkodziła dobrej sztuce interesująco wystawionej.

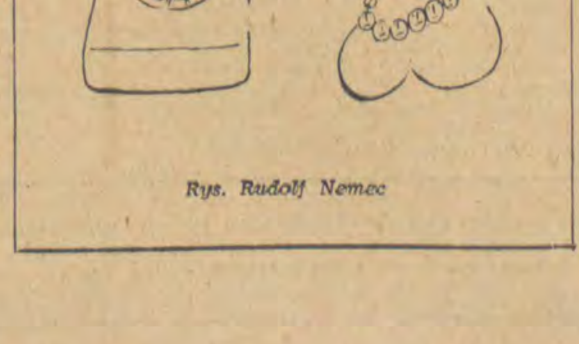

Rys. Rudolf Nemec

■ PRZED DWUDZIESTU LATY (20 sierpnia 1945 r.) zmarł na wygnaniu w Nowym Jorku znakomity pisarz i satyryk austriacki Roda-Roda. Właściwie nazywał się on Sandor Friedrich Rosenfeld, urodził się 13 marca 1872 w Puszta Zdenci na terenie dawnej monarchii austro-węgierskiej. Roda-Roda to jego pseudonim pisarski, którym opatrywał swoje opowiadania, powieści, humoreski i komedie. O jego komediach mówiono, że tym się różnią od komedii autorów niemieckich, iż można się z nich śmiać. Książki jego ukazywały się pod następującymi tytułami: „Roda-Roda i czterdziestu rozbójników", „Roda-Roda opowiada", „Powieść Roda-Rody". Ta ostatnia książka jest jego autobiografia, w której opowiada on o swoim życiu i opisuje młodość z okresu przed pierwszą wojną światową.

Poniżej drukujemy kilka jego uwag i myśli, które ogłaszał pod wspólnym tytułem „Wióry". Oto one:

Tłumaczenie jest wtedy dobre, jeśli jest lepsze od oryginału.

Nieśmiertelność? To jest tak jak w tramwaju: bardzo niewielu pasażerów dojeżdża do ostatniego przystanku.

Literatura: koncert ślepych dla głuchoniemych.

Satyra: mądrość, która się rozzłościła.

Ludzkość dzieli się na dwie części: jedna fałszywie się wypowiada, a druga źle to pojmuje.

Młodość domaga się tego, aby powtarzać wszystkie głupstwa, których my żałujemy.

Wiele lat przeminie, nim świat spostrzeże, że mędrzec stał się głupcem.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

I Biennale Form Przestrzennych w Elblągu ściągnęło plastyków nie tylko z Polski. Przybyło kilku Czechów, Węgrów, nawet jeden rzeźbiarz ze Stanów Zjednoczonych. Łódź natomiast reprezentują Lech Kunka, Antoni Starczewski i Krystyn Zieliński.

Jest to inicjatywa podobna do tzw. pleneru w Działoszynie. Organizowana przez kombinat metalurgiczny ZAMECH, który również dostarcza plastykom surowca i pomocy technicznej. Parki, place i ulice tego niewielkiego przecież miasta zapełniają się rzeźbami, Wśród nich znalazła się nawet taka, która pod wpływem wiatru będzie dźwięczeć i zmieniać formy.

Fama głosi, że również w Łodzi ktoś myślał o wystawieniu w naszych parkach kolekcji rzeźb. Ale chyba znacie państwo wojskowy dowcip o Famie.

WTOREK

W naszym mieście pojawiło się natomiast kilka nowych wielkich reklam na ścianach domów. Pomyślano nareszcie o wyglądzie niektórych bardzo zaniedbanych i niewykorzystanych pod tym względem domów.

Trudno jednak się tym zachwycać. Po pierwsze — jedna jaskółka wiosny nie czyni; po drugie — ta jaskółka wygląda raczej na nieopierzonego wróbla.

Jeśli państwo nie wierzycie, przejdźcie się kilka kroków choćby od Bałuckiego Rynku, Zgierską w kierunku Placu Kościelnego. Zobaczycie parę wielkich napisów w bardzo ponurych kolorach.

ŚRODA

Tymczasem choćby Wojewódzka Rada Narodowa (tak, tak! województwo łódzkie) ma za sobą już jeden poważny sukces — Działoszyn, a już szykuje następne: konkurs na pomnik i konkurs pamiątkarski. Myślą już o konkursach, które obejmą rzeźbę, malarstwo ludowe, organizują tydzień folkloru oraz konkurs, który pozwoli nam zapoznać się z obrzędami wsi województwa łódzkiego.

Cóż pozostało nam, łodzianom. Podziwiać i dopingować nasze „czynniki" już nawet nie do szukania nowych inicjatyw, ale po prostu do korzystania z doświadczeń innych.

CZWARTEK

Sprawą poziomu rozrywki kulturalnej w lokalach gastronomicznych zainteresowało się już nawet MINISTERSTWO! Najwyższy czas, by „kulturę", za którą każdy z nas płaci, choćby wstąpił tylko na małą czarną, czas najwyższy zastąpić kulturą. Estrada Łódzka ma zamiar jeszcze w tym roku założyć w jednym z łódzkich lokali kabaret literacki. Pomysł doskonały, ale nie załatwia wszystkiego.

Proszę mi pokazać lokal, w którym można by posłuchać dobrej muzyki jazzowej, w którym pianista, czy nawet cały zespół grających nie zmuszałby nas do wysłuchania po raz nie wiadomo, który „Czardasza" Montiego, czy jakiejś w podobny sposób ogranej „melodii".

Ośmielam się podsunąć kilka pomysłów. W jednym lokalu dobry jazz, w następnym piosenka kabaretowa dwudziestolecia 1918—1939, w następnym muzyka stylizowana południowo-amerykańska, itd. A jeśli starczy odwagi, można by pomyśleć o staropolskich pieśniach i piosenkach o muzyce mieszczaństwa z XIX wieku, o tańcach Europy z wieku XVIII...

PIĄTEK

Wydawnictwo Łódzkie zapowiada i szcze w bieżącym roku dwadzieścia jeden nowych pozycji książkowych. Największą atrakcją w dziedzinie literatury będą dwie antologie humoru i satyry. Ukaże się antologia „W Bi-Ba-Bo i gdzie indziej", obejmująca okres od lat osiemdziesiątych XIX wieku po pierwsze lata okresu międzywojennego, opracowana przez J. Dunina, oraz trzeci tom „Ksiąg humoru polskiego. Od Asnyka do Zapolskiej".

Prozę reprezentują tym razem W. Babinicz, J. Czarny, W. Jażdżyński, A. Minkowski i L. Utracki. W dziedzinie poezji tylko jeden tomik I. Sikiryckiego — Nocny połów.

Z dziedziny nauki sygnalizujemy kilka bardzo ciekawie zapowiadających się publikacji; A. Barszczewskiej — Województwo kaliskie i mazowieckie w powstaniu listopadowym", M. Cygańskiego — „Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi" i pierwszy tom „Kroniki getta łódzkiego", obejmujący okres od stycznia 1941 r. do maja 1942 r.

SOBOTA

W Pałacu Młodzieży wystąpił Młodzieżowy Zespół Pieśni i Tańca z Archangielska. Członkami zespołu są uczniowie szkół zasadniczych. Tym większą niespodziankę sprawił poziom wykonywanych piosenek i tańców. Wiele w tym zasługi kierownictwa zespołu, ale oddajmy bardzo młodym tancerzom i śpiewakom to, co im się należy.

Słynne, znane nam wszystkim rosyjskie tańce ludowe, często są pokazem, i to wysokiej klasy, sprawności fizycznej wykonawców. Nie szczędzili nam tego i młodzi członkowie zespołu. Podziwiałem ich, gdy czterokrotnie bisowali ten sam fragment tańca, który był wprost przepełniony tego rodzaju wyczynami.

Piosenki bardzo rosyjskie w swoim charakterze. Nawet te, które były komponowane specjalnie dla młodzieży, choćby pełna uroku „Będę mistrzem w swoim zawodzie..."

Mam tylko dwa małe zastrzeżenia pod adresem organizatorów. Polska konferansjerka była bardzo miłą dziewczyną, warto by było jednak znaleźć kogoś z lepszym głosem, mówiącego wyraźniej, lepiej czującego się na estradzie. Organizatorzy powinni również pomyśleć o tych, którzy dowiedzieli się o występach z prasy, ale nie mieli okazji dostać zaproszeń. Jakieś minimum kart wstępu powinno się i dla nich przeznaczyć.

NIEDZIELA

PWN wydaje doskonały dwumiesięcznik „Przegląd Humanistyczny". Podobno ukazał się nowy numer. Mówię o tym w trybie przypuszczającym, bo sprawdzić to tylko można w dwóch największych bibliotekach łódzkich. W Łodzi to doskonałe pismo cieszy się pełnym uznaniem, nie pozbawionym jednak pewnej tajemniczości.

Każdemu, kto chciałby sobie kupić egzemplarz „Przeglądu Humanistycznego", radzę najpierw obejść wszystkie kioski Ruchu. Kiedy się przekona, że sprzedawcy nawet nie słyszeli o takim piśmie, niech zajrzy do Klubu Książki i Prasy — oczywiście bez rezultatów. Pozostała nam jeszcze instancja najwyższa — księgarnie — zwłaszcza Naukowa, ul. Piotrkowska 104.

Więc wszystko już wyjaśnione. Do Łodzi „Przeglądu Humanistycznego" się nie sprowadza. Bo i po co? — zadają sobie pytanie kierownicy Ruchu, Domu Książki i Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy.

AMMIANUS

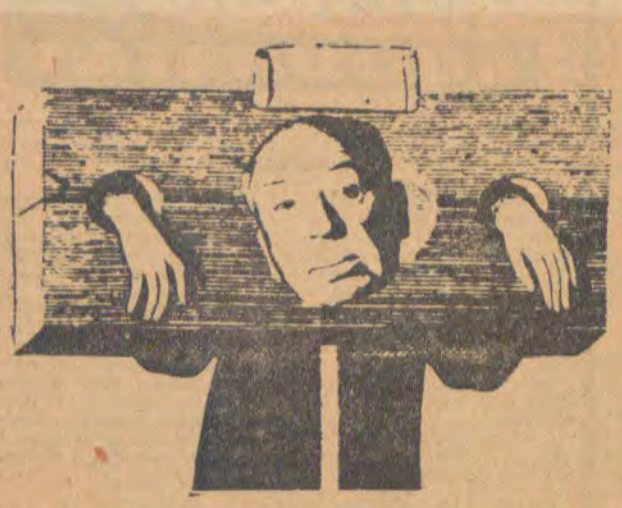

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

DARRELL BATES

LUDZIE ZNAD RZEKI

RZEKA płynęła leniwie między błotnistymi brzegami trzcin i splątanych korzeni. Powierzchnia wody była gładka, niczym nie zmącona. Jedynie pośrodku, tam gdzie występowała, jak ręka nieboszczyka, gałąź zwalonego drzewa, woda wirowała i zdawało się, że nabiera szybkości, ażeby uciec od przeszkody; jak gdyby sucha gałąź była złą, nieczystą siłą.

Robert Pritchard leżał na brzegu i patrzył na wodę. Był wysokim, kościstym mężczyzną o szarozielonych oczach, około trzydziestki. Jego długie ramiona i twarz były spalone przez słońce i pustynny wiatr na barwę kolby karabinu, który trzymał przed sobą.

Obserwując rzekę przypominał sobie dzień, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy. Było to siedem lat temu, prawie co do dnia.

— Witaj — powiedzieli wysocy smukli wodzowie plemion — kiedy przyjechał. Mieli naoliwione, czarne, nagie ciała i włosy koloru ochry. W rękach trzymali długie wypolerowane włócznie jako zewnętrzny znak powitania. Ale oczy ich były baczne, obserwujące, prawie żółte z podejrzenia.

— Witaj — mówili w swoim języku mlaskań i wielu spółgłosek. — Jesteś teraz naszym nowym panem, nowym komisarzem, naszym ojcem i naszą matką. Niech zapanuje pokój i szczęście dla ciebie, biały człowieku, i dla nas.

Pierwszego dnia pobytu, siedem lat temu, przyniesiono mu jakąś dziewczynę. Jedno jej ramię było odjęte do łokcia. Nawet ciało powyżej łokcia było rozdarte do kości. Tym razem miała to być także kobieta, jak mu oznajmili. Niestety, przybyli za późno, aby ją uratować. — Nic z niej prawie nie pozostało; nawet twarde, niestrawne podeszwy jej stóp — dodali, ze swoim nadrzecznym humorem. — Bóg jest łaskawy — zawodzili monotonnie by pozbyć się ciężaru straty, — Bóg jest wielki.

Zabili kozę i kawałki jej mięsa położyli w trzcinach. Robert leżał na brzegu powyżej trzcin i obserwował. Czekał na mordercę. Nagle ujrzał coś co przypominało kawałek unoszącego się drzewa posuwającego się wolno w jego kierunku. Odciągnął bezpiecznik i przycisnął kolbę karabina do ramienia. Pysk krokodyla pojawił się na linii celownika.

Powoli przesuwał lufę za jego ukradkowymi ruchami. Nie strzelał jednak. Czekał aż bestia podniesie głowę z wody by pochwycić przynętę, i odsłoni swój miękki bok tuż powyżej serca.

— Dlaczego odjeżdżasz? — pytali ludzie znad rzeki, dlaczego zostawiasz nas samych? Obserwując posuwającego się w kierunku trzcin krokodyla, Robert myślał o odpowiedzi jaką dał i o tej jaką prawdopodobnie powinien był dać.

— Jesteś teraz wolny. — Jesteś niezależny — mówili — ale w tym dialekcie spółgłosek słowa te brzmiały jakoś inaczej. Wydawały się mieć inne znaczenie w okrzykach tłumów z wiosek. — Kto teraz wysłucha naszych trosk i obroni nas przed obcymi? Kto będzie zabijał krokodyle? Robert odwrócił głowę i spojrzał na rażąco świecące słońce, na blado niebieskie niebo. — Mój czas się skończył — pomyślał — wola Boga, żebym stąd wyjechał.

— Ach... — zaintonowali — eh... — przeciągłe dźwięki pełne niezrozumienia, wątpliwości i przerażenia wydobywały się z ich ust.

Krokodyl był teraz nie dalej niż o stopę lub dwie od przynęty i Robert na chwilę wstrzymał oddech. Kiedy wyciągał głowę, lekko ściągnął spust.

Odgłos wystrzału rozdarł nadrzeczną ciszę. Ptaki poderwały się z trzcin i piaszczystych łach, trzepocząc panicznie skrzydłami. Maleńkie gazele zamarły na moment w subtelnych pozach, a lew przyczaił się w długiej, suchej trawie. Myszołowy i sępy skłoniły oczy i dzioby w dół z głodną ciekawością. Krokodyl znikał powoli z pola widzenia. Nie było jednak żadnego poruszenia na powierzchni wody, żadnej krwi. Krew była na brzegu. Powoli sączyła się z rany na głowie Roberta.

* * *

Matka Roberta Pritcharda mieszkała w północnej Walii. Z okien jej domu widać było: odświeżoną mgłami zieleń pól, brunatnego koloru zeszłoroczną paproć, długie wijące się kamienne ogrodzenia na zboczach gór i rozrzucone punkciki górskich owiec. Siedziała w oknie obserwując drogę i nasłuchując odgłosu samochodu. W żylastych rękach trzymała mój list. — Przyjadę na pewno, jeżeli będę mógł o wpół do siódmej, pisałem.

Zobaczyłem, że ma szarozielone oczy Roberta, i chociaż o połowę niższa i słabsza od niego, miała tę samą kościstą budowę. — Dzień dobry, powiedziała. — Bardzo mi miło, że przejechał pan taki kawał drogi, aby się ze mną zobaczyć.

— Głupstwo, zrobię wszystko co będę mógł, aby odpowiedzieć na każde pani pytanie. Wyjrzałem przez okno unikając jej przenikliwego wzroku. — To znaczy, jeżeli zechce pani jeszcze o tym mówić. Na stole leżał list sprzed sześciu miesięcy. — „Z wyrazem głębokiego żalu i ubolewania pragnę poinformować panią o tym, że syna pani w przeddzień opuszczenia przez niego stanowiska, w związku z wygaśnięciem terminu umowy, spotkał nieszczęśliwy wypadek, w rezultacie którego stracił życie". List wyjaśniał, że ludzie znad rzeki donieśli jakoby Robert został pożarty przez krokodyla i, że mimo usilnych poszukiwań nie natrafiono na żaden ślad jego ciała. Wiedziałem dobrze co zawiera ten list. Sam go pisałem.

Bardzo mi przykro... było mi wszystkim bardzo przykro... Robert był bardzo dobrym człowiekiem. To był tragiczny wypadek i...

Matka popatrzyła na mnie oczyma Roberta. Zacząłem zastanawiać się czy dobrze zrobiłem przyjeżdżając tutaj.

— Robert — powiedziała cicho — był dziwnym człowiekiem. Był odludkiem. Całe swoje dzieciństwo przeżył tutaj, i kiedy tylko mógł spędzał czas samotnie. Chodził sam po górach, sam łapał ryby w strumieniach i jeziorach. Czytał bardzo dużo, jak to niewątpliwie panu wiadomo. Ponadto lubił słuchać muzyki. Mimo tego nie był egoistą, człowiekiem zainteresowanym jedynie w swoich sprawach. Był miły i troskliwy. Był bardzo dobrym synem dla mnie, szczególnie jeżeli chodzi o pisanie listów...

— Czy wie pan w jaki sposób on zginął?

Zawahałem się przez moment, mimo że wiedziałem przez cały czas, że zapyta o to wcześniej czy później. Nigdy nie spodziewałem się jednak, że zrobi to tak nagle. Spojrzałem na jej twarz, na jej oczy i usta. Widziałem w nich odwagę i siłę; a co więcej — pragnienie poznania prawdy.

— Tak, wiem w jaki sposób zginął.

— Czy wie ktoś jeszcze oprócz pana?

— Nie, nikt z wyjątkiem ludzi znad rzeki.

— Czy oni powiedzą o tym komukolwiek.

— Nie! Nie powiedzą.

Wstała i zaciągnęła zasłony na oknach. Panował półmrok; mimo to nie zapaliła światła i siedzieliśmy w drgającym kolorami i cieniami świetle kominka.

— Czy Robert napisał w tym liście, że zamierza pójść nad rzekę by zastrzelić krokodyla?

Tak, pisał, że zginęła jakaś kobieta podczas nabierania wody w rzece, i że prosili go, ażeby zastrzelił krokodyla. — Ale... — głos jej zadrżał.

Robert w jakiś sposób odgadł, że oni wymyślili tę całą historię z dziewczyną. Nie wiedział dlaczego, ale zdawało mu się, że to ma jakiś związek z krokodylem, którego zabił w dniu przyjazdu. To tak jak gdyby chcieli, ażeby wszystko skończyło się tak jak zaczęło.

— Więc wiedział on o wszystkim. Mimo to, nie odmówił.

Znowu wstała ze swego miejsca i podeszła, tym razem do kredensu. Nie patrzyła nawet. Znała na pamięć gdzie jest. Wyjęła list i przysunęła go do światła. „...Nie martw się mamo... — głos jej przybrał barwę i ton głosu Roberta — ...boję się krokodyli i postaram się być bardzo ostrożny. Zawsze strzelam do nich z bezpiecznego miejsca, którego nigdy nie dosięgną...

— Ale — ciągnęła — większa część tego listu jest o czymś innym.

— Czyżby o jego wyjeździe?

— Tak, o jego wyjeździe. O tym jak ludzie ci czuli, że wyjeżdżając pozostawia ich własnemu losowi; robi im zawód, oddaje ich przyszłości, której tak się obawiają i której nie rozumieją. Skończył swój list dziwnym stwierdzeniem. „...Jutro o świcie mam wyjechać, ale mam jakieś dziwne przeczucie, że kiedy otrzymasz ten list będę tu jeszcze. Tak czy inaczej zmuszą mnie do pozostania".

Odłożyła list i spojrzała na mnie. — Co się stało? Chciałabym wiedzieć.

— Zastrzelili go. Wiedziałem teraz, że będę musiał w końcu powiedzieć, że im prędzej to zrobię tym lepiej. To była pułapka. Zastrzelili go, kiedy leżał na brzegu czekając na krokodyla.

Ale dlaczego to zrobili. Przecież to wszystko nie miało sensu. Przebywał z nimi przez siedem lat, poświęcił wszystko co miał dla tych ludzi, cały swój rozum, zdrowie. Wierzyli mu, kochali go. Wiem dobrze, że go kochali, potrzebowali go.

Cały jej spokój i opanowanie prysły.

— Tak, potrzebowali go, nie mogli nic robić bez niego i dlatego zabili.

Nastąpiła długa cisza, w tym mrocznym oświetlonym jedynie światłem kominka pokoju.

— Boję się — wyszeptała — że nie zupełnie wszystko zrozumiałam.

Nie mogli znieść jego odejścia, więc zabili. Był to jedyny sposób jaki mogli wymyślić na to, aby został z nimi na zawsze, by pomagać i bronić ich i ich dzieci, i dzieci ich dzieci. Wstałem i odciągnąłem zasłony. Nad wzgórzami wisiał jasny sierp księżyca. — Obawiam się, że niezbyt dobrze to wyjaśniłem.

— Zaczynam pojmować. Ale dlaczego, wtedy nie znaleziono jego ciała?

— Myślę, że po prostu nie było nic do znalezienia.

— Czy to znaczy, że go zjedli? Na twarzy jej pojawił się dziwny; pełen współczucia uśmiech. To prawie tak — pomyślałem; jak gdyby uwierzyła, że to prawda.

— Nie, nie w żadnym wypadku nie zdobyliby się na to. Oni... oni rozczłonkowali jego ciało, a kawałki zakopali w nieoznaczonych grobach, gdzie nikt z obcych ludzi nie mógłby ich znaleźć. Ale oni sami wiedzą i ich dzieci będą wiedziały. Tak więc, w każdej części kraju, jeżeli będzie im potrzebny, będą wiedzieli, gdzie szukać. W ten sposób będzie, jest on zawsze z nimi.

— Skąd pan to wszystko wie.

— Wysłano mnie w celu zbadania tej sprawy, a poza tym zdążyłem już poznać ludzi znad rzeki wcześniej

— Czy ukarano kogoś za to. W jej głosie przebijała ciekawość bez jakiejkolwiek zbiegwoli.

— Nie, nikogo nie ukarano.

— Ale jeżeli pan powiadomił mnie w liście, że Robert został zastrzelony i jeszcze o tych innych rzeczach, o których mi pan przed chwilą mówił, to znaczy, że zostało popełnione morderstwo, prawda? Czyżby...

— Nie, nikogo nie ukarano, ponieważ nikt nie wie o tym.

— Sądzi pan... —

— Nie, nikomu nic nie powiedziałem o tym. W każdym razie nie było żadnego dowodu.

— Patrzyłem na jej twarz, aby zobaczyć czy zrozumiała. — Są oni spokojnymi, prostymi ludźmi. Zabili go, chcąc by pozostał z nimi.

— Tak, rozumiem.

— Ale teraz, gdy powiedziałem pani o wszystkim, czy zechce pani przedsięwziąć jakieś kroki. Mogłaby pani. Na początek może pani wykorzystać ten list.

Matka Roberta siedziała bez ruchu, patrząc w ogień. Nagle stanowczym ruchem chwyciła list i wrzuciła go w płomienie. Brzegi papieru skręciły się, zbrązowiały, zapaliły się, sczerniały, a popiół rozwiał się po ciemnej kamiennej podłodze.

Nie! Nic nie zrobię. Nic.

Tłum. WITOLD LIWAROWSKI

Andrzej Will FAUN — 1964 r.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

SŁOWIKI W GRUDNIU

Przez wieleset lat nie przyszło nikomu do głowy, żeby straszyć dzieci ptakami. Teraz już wiemy, jak może wyglądać ich inwazja. Naczytaliśmy się — najpierw oczywiście w „Przekroju", potem w „Dzienniku Łódzkim", fragmentami także gdzie indziej; zobaczyliśmy wreszcie ów sławetny film, nie rzucamy już zimnych kartofli na parapety okien, zezem spoglądamy na ostatniego wróbla, podrygującego po jezdni.

Zdemonizowano ptaki w momencie, kiedy stają się — zwłaszcza dla mieszkańców miast — legendą. Z takim samym opóźnieniem lubował się początek naszego wieku w strasznych opowieściach o wilkach, gdy w lasach pozostały już tylko ostatnie ich niedobitki, smutne, zaszczute, daremnie starające się przestawić na jarską kuchnię. Widocznie jest w bajkotwórczości taka prawidłowość, żeby strachy lokować tam, gdzie ich spotkać nie można. To nawet bardzo pomysłowe.

Coraz puściej w powietrzu wokół nas. Samoloty latają zbyt wysoko i nie dają się wabić szczebiotem ani pogwizdywaniem. Gdy czytamy dzieciom śliczne Tuwimowskie „Ptasie radio" — rozumieją w lot, co to jest radio, ale ptasie? Co znaczy ptasie? Długo musimy tłumaczyć, że ptak to taki maleńki sztuczny satelita, dopóki nie zaprowadzimy malucha do zoo i nie pokażemy wyleniałego sępa i łysej ze starości papugi. Maluch wraca do domu i nadal woli radio. Też skrzeczy, ale nie pluje pestkami.

W mieście, a już, specjalnie w naszym mieście, nie ma ptaków. Znam tylko kilka wysokich ścian, porośniętych bluszczem, zanoszących się o zmroku świergotem wróblim; na ściany te zlatują pojedyńczy ryzykanci z całego miasta, tu naradzają się co dalej; tu wspominają czasy sprzed motoryzacji. Zlikwidowano wrzaskliwą kolonię wron w ogródku „Tivoli"; wron nikt nie lubi, jeden Gałczyński chciał ocalić od zapomnienia cztery wrony na zaśnieżonym moście Poniatowskiego. Świegot jaskółek nad ranem, wmontowany w „Piosenkę o mojej Warszawie", pamiętają tylko przedwojenni warszawiacy; w żadnym łódzkim parku jaskółki nie zobaczysz. Nic tam nie kwili, nie kląska, nie ćwierka. Ba, w najdzikszych ostępach lasów dookolnych usłyszysz najwyżej Annę German lub Edith Piaff. Żadna kukułka nie wytrzyma konkurencji z tranzystorami.

Być może, że taka jest dialektyka postępu. Że z całego najmilszego ptasiego świata zostaną tylko sine gołębie, coraz tłustsze i bardziej bezczelne, urodzone mieszczuchy, paskudzące po wszystkich podcieniach wszystkich Starówek z wyjątkiem Berlina. Berlin ma mewy. Pływają setkami po Szprewie i tak samo się je karmi jak gołębie koło Sukiennic. Może te mewy też zostaną, o ile w wyniku masowej turystyki zagranicznej nie skrzyżują się z gołębiami.

A w lasach i w parkach poustawiamy magnetofony i słowiki będą nam śpiewać z płyt o każdej porze dnia i roku. Na gałązkach sztucznych krzewów jaśminu (większych niż prawdziwe, kwitnących bez przerwy) pozawieszamy gniazdka z wełny szklanej, ptaszki z plastyku będą miały piękniejsze piórka niż kraska i zimorodek razem wzięte, wieczorem sowom zapalą się elektryczne oczy o starszy technik-ornitolog włączy do koncertu taśmę z żabim kumkaniem.

Wtedy sztuczni ludzie na ławkach uśmiechną się sztucznie do siebie i zaczną sztucznie wzdychać. A my co? Może tak zawczasu dać nurka gdzieś w głębokie morze, pomiędzy prawdziwe ryby? —

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam.2292.VIII.65.N-11